

Tadeusz Boronowski

O linię polityki kulturalnej

Niemcy zmięrzali systematycznie do zorganizowania nas jako narodu „zjadaczy chleba”, których jedynym celem i zainteresowaniem będzie sprawna, skoordynowana, podporządkowana ich systemowi i interesom produkcja podstawowych dóbr materialnych. Cała ich polityka zmierzała do nastawienia nas na ten wyłącznie kierunek rozwoju społecznego. I wydawałoby się mogło, że te planowo realizowane tendencje poczynią duże spustoszenia w nastawieniach duchowych, zainteresowaniach i wymaganiach kulturalnych społeczeństwa. Stało się jednak przeciwnie. Jakkolwiek niewola sprawiła, że nawet te warstwy i grupy społeczne, które w warunkach pokojowych korzystały w pełnym przynajmniej stopniu z wartości kulturalnych, zostały odcięte od bezpośredniego i szerokiego kontaktu z tymi wszystkimi formami życia kulturalnego, które składają się na pełnię kultury, które kształtują kulturę narodu, — ogólny głód kultury wzrósł w tym okresie poważnie. Obserwujemy bowiem charakterystyczne i optymistyczne zjawisko wielkiej chłonności szerokich mas społeczeństwa na wszelkie formy i przejawy działalności kulturalnej. Możemy powiedzieć, że potencjał zainteresowań kulturalnych jest olbrzymi i stanowi podstawę, na której możnaby zacząć budować gmach polskiej kultury mas.

Alé jest to zjawisko, które przechodzi już swój punkt kulminacyjny i wchodzi w stadium powolnego opadania swej linii napięciowej. Dzieje się to na skutek rozczerawiania, jakie wytworzyło się w masach konsumentów dóbr kulturalnych w okresie pierwszego zetknięcia się z treścią i formą życia kulturalnego nowej Polski. To, co naród otrzymał od organizatorów kultury w pierwszej fazie niepodległości, zawiodło wszelkie oczekiwania. Zawiodła literatura i książka, zawiodł teatr, zawiodło kino, nie stały na wysokości zadania ani sztuki plastyczne ani muzyka, słowem zawiodły generalnie wszystkie najpowszechniejsze i najbardziej zasadnicze formy wartości kulturalnych. Tragedią naszą jest niewątpliwie, że we wszystkich tych dziedzinach zastaliśmy spustoszenia i straty olbrzymie, na których wyrównanie pracować muszą lata, jeśli nawet nie lat dziesiątki. Ale równocześnie powiedzieć trzeba, że w ramach pozostałych nam do dyspozycji możliwości i środków nie umieliśmy się zorganizować i urządzić. Świadczy to niewątpliwie o tym, że nie umieliśmy zdynamizować i uaktywnić wszystkich sił twórczych i zmobilizować wszystkich czynników, że poza nawiasem prac nad odbudową kultury polskiej pozostali niewyżyłskani ludzie i pozostały zaniedbane sprawy.

Podobnie, jak w wielu dziedzinach życia, tak i w dziedzinie kultury wydaje nam się, że zaczynamy żyć zupełnie od początku, że nie mamy żadnej podbudowy, że wszystko czeka dopiero na nas i na to, czego dokážemy. Sprawia to, że poruszamy się w pustce i szukamy na oślep dróg i kierunków wyjścia, albo zaczynamy szukać w przeszłości na gwałt wskazań i znaków orientacyjnych,

tworząc sztuczne wielkości i wypaczając w sposób dowolny i bezceremonialny kierunki rozwojowe naszej kultury. Przeszłość zaczynamy w tym duchu na nowo układać w hierarchie, posuwając się do formowania programu kulturalnego według zasady, co „nie powinno się nam podobać”. Pewnych pozycji nie można skazywać uproszczonym trybem na banie. Nie wytworzywszy na ich miejsce innych pozytywnych wartości, znajdziemy się szybko w próżni, którą już teraz zaczynamy odczuwać. Grozi nam to np. w tym wypadku, gdy, lekceważąc sprawę poszukiwania ciągłości linii demokratycznej w kulturze polskiej, linii rozwoju myśli społecznej, będziemy obraz tej kultury układać jednostronnie jedynie w duchu materializmu dziejowego.

Nie mniej jest sprawą zasadniczą i palącą ustalenie naszego programu kulturalnego w zakresie udostępnienia wartości kulturalnych na użytek powszechny. Musimy przełamać okres obecny zastoju, niezdecydowania i wahań, w którym nie możemy zdobyć się na ustalenie w zakresie kultury linii dążeń i celów. Kultura polska podlegała niezmiennym i wiecznym prawom postępu. Znajdowała swój rozkwit w okresach rozbudzenia nowej postępowej myśli, cofała się i staczała nawet na dno upadku w czasach zastoju, silnego zachwiania równowagi sił społecznych i moralnych. Te okresy rozkwitu wytyczają jej linię rozwojową i stanowią o jej sile. Stąd zawsze żywe i zawsze twórcze wartości odnajdziemy na wszystkich ważniejszych i szczytowych etapach jej rozwoju. Zamiast zaczynać od burzenia, wykreślania, stwarzania in-deksów, musimy podjąć trud upowszechnienia we właściwej formie tych wszystkich wartości, które przez kulturę polską przez wieki zostały nagromadzone, bo ze spokojnym sumieniem stwierdzić możemy, że na to, co „nam się podobać nie powinno” wydała już wyrok historia i nikt dzisiaj nie zamierza szukać w tych fazach kulturalnych natchnień na obecny i przyszły czas. Zahukani przez rozbrykanych reformatorów, żyjemy w ciągłej obawie przed kontaktem z przeszłością, boimy się sięgnąć do tej czy innej epoki, do tego czy innego pisarza lub myśliciela, by nie narazić się na huraganowy ogień zarzutów zacofania czy nawet reakcji, niewyczuwania ducha czasu, kultuwowania zgubnych tradycji. Trzeba więc jasno i wyraźnie określić nasz stosunek do przeszłości kulturalnej, spojrzeć na nią trzeźwo i od nowa ale bez suchego doktrynerstwa i ciasnego formułkowania.

To sprawa pierwsza. Sprawa drugą w naszym programie kulturalnym jest udostępnienie tego wszystkiego, co stworzyli nasi plastycy, muzycy i pisarze w latach poprzedzających wojnę i w okresie samej wojny, zebranie tego dorobku, który przetrwał koleje okupacji, zbilansowanie dorobku dwudziestolecia niepodległości, podsumowanie jego zdobyczy, naświetlenie niedomagań i błędów, których geneza nauczyć może wiele. Okres niewoli jest dla nas jeszcze wielką niewiadomą. Zarządzować zaczyna się dopiero

dzięki kilku skromnym, bardzo skromnym wydawnictwom obraz poezji tego czasu. Podobno rozwiewa się już legenda o rozkwicie dramatu a kto wie, czy ten sam los nie spotka legendy o rozkwicie prozy. O osiągnięciach muzyków i plastyków nie wiemy prawie nic. Bez ujęcia tych zjawisk kulturalnych w pewną ogólną całość orientacyjną, nie będziemy mieć nigdy pełnego obrazu losów narodu w tym czasie wielkich dziejowych doświadczeń i nie stworzymy sobie właściwego pojęcia o jego duchowej postawie wobec wydarzeń, które się nad światem przewalały. Bez jasnego pojęcia o tych sprawach nie potrafimy uchwycić kierunku naszych tendencji rozwojowych i nie będziemy umieli rzutować w przyszłość.

Gdybyśmy chcieli mówić o formach, w jakich ten powszechny program kulturalny miałby być realizowany, weszlibyśmy w sferę wytartych komunałów. Trzeba by mówić o książce, która przeżywa swój czas tragiczny, o teatrze, który daremnie poszukuje Hróg, o kinie, które straszy starymi dziwologami i nie umie się posługiwać produkcją zagraniczną, o operze, której nie ma i która zdaje się będzie nie prędko, o dzielących jej los orkiestrach a w końcu i o domach kultury, które przeważnie stały się przybytkiem ludzi o niewyżytych i skrzywionych ambicjach, którzy partaczą robotę kulturalną u podstaw, w punkcie, gdzie kultura zaczyna się stykać z elementem bardzo chłonnym, ale i bardzo niewyrobionym. U podstaw jednych z tych niedomagań leżą fałszywe założenia organizacyjne i brak skoordynowania wysiłków, inne wynikają z niedostatecznej pomocy ze strony państwa ale ogólnie powiedzieć można, że przyczyną niemal wszystkich tych niepowodzeń jest właśnie zupełny brak linii wytycznej w polityce kulturalnej, brak zdecydowanie zarysowanego programu kulturalnego. Bez niego nie możemy i nie ruszymy z miejsca i roztrwonimy kapitał zainteresowań kulturalnych, jaki tkwi w społeczeństwie. Rezultat będzie ten sam,

(Dokończenie na str. 2-giej)

Perspektywa Odry

Notatka prasowa doniosła tylko tyle: Pod Kędzierzynom znaleziono chorągiew powstańców z napisem: „Związek Wojaków i Powstańców Laskowice 1922”. Tymczasem na dzień tego napisu kryje się symbol wielkości polskiej na ziemiach zachodnich. Notatka ta zbiega się i z 25-tą rocznicą wybuchu drugiego powstania na Śląsku i z szóstą rocznicą śmierci Wojciecha Krfańtego.

Dzieło Wojciecha Korfańtego służyło sprawie powrotu Śląska do Rzeczypospolitej. Z nagromadzonej w ludzie śląskim woli, siły i goryczy, oraz z programu walki Korfańtego wynika decyzja o powstaniu. Niewątpliwie jednym z ważnych powodów bytu ustawiczne prowokacje niemieckie, którą to metodę usiłują stosować Niemcy i dzisiaj, tym razem w gabinetach międzynarodowych politycznych snobów, wśród których nie brak i Polaków, nie wywołujących się zresztą z polskości.

Przez pamięć czynu zbrojnego, gdzie walczyli górnicy sprawnie umieli prowadzić młodzież w najgorętsze bitwy, stawiamy w odniesieniu do zachodnich części Śląska następujące tezy:

1. Oto jest istota naszego powrotu na zachód: wracamy nie z przypadku, nie z zaborczości, a z woli sprawiedliwości dziejowej, dzięki walce i ofierze milionów na swoje, gdzie zgromadzone są nie tylko prochy naszych przodków, lecz gdzie żyją jeszcze żywi Polacy, którzy przetrwali wszelkie burze dziejowe i przesiedlenia, próby eksterminacji i asymilacji. Dla nich obecna chwila jest tak uroczysta, jak uroczysta była dla nas przed 25 laty.

2. Wobec masy polskiej, która z różnych powodów (nazwijmy je dziejowymi) odwykła od żywej polskości, konieczna jest daleko idąca wyrozumiałość i cierpliwość w t. zw. procesie repolonizacyjnym, a przede wszystkim unikanie momentów, które by kopały przepaść między nimi a nami.

3. Nie ma „dobrej” polityki narodowościowej bez dobrej polityki wewnętrznej, bez siły państwa, bez atrakcyjnej kultury, a co najważniejsza, bez koncepcji całkującej, przegarniającej. Gorzej, gdy działają koncepcje dysocjacyjne, atomizujące, skłócające. Ustalenie jasnego programu narodowościowego, jest naszą koniecznością państwową.



Drwale łuzycy (drzeworyt Łuzyczanina M. Nowaka)

Jerzy Hutka

Zróbmy bilans

Żywioł polski, zasiedlający zwartą masą ziemię śląską, jest od wieków środowiskiem, w którym waży się wpływy kulturalne państw sąsiadujących. Przygraniczny charakter Śląska wpływa na przenikanie do społeczeństwa śląskiego jednostek innych narodowości, a dalej na przenoszenie elementów obcych kultur etnicznych. Zmiany przynależności państwowej wpływały poza tym wybitnie na upowszechnienie niektórych elementów obcych kultur, n. p. języka niemieckiego. Nie odbywało się to bez tarć o różnym natężeniu, których wynikiem były pewne odchylenia od jednolitej struktury kulturalnej, reprezentowanej przez ludność Śląska.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że na Śląsku w walce o prymat posiadała największą szansę kultura polska, przekazywana tu od wieków z pokolenia na pokolenie. Na jej nawarstwieniach czepiały się jak pajęczyna obce wpływy, głównie niemieckie, nigdy jednak nie umocnione na tyle, aby wywołać trwałe połączenia obu kultur, ani tak liczne, aby zastąpić sobą właściwe oblicze kulturalne ludności śląskiej.

Na całość kultury pewnego społeczeństwa składa się bowiem obok składnika językowego cały szereg innych składników, jak strój, zdobnictwo, wierzenia, tradycja, pieśń ludowa itd., których nie udało się Niemcom zastąpić mimo wprowadzania obcego elementu ludowego, drogą kolonizowania. Liczne wysepki kolonistów utonęły w morzu naszego zasiedlenia, przyjęły zwyczaj-

je i strój otaczającej ludności, a po prawej stronie Odry utraciły nawet język na rzecz polskiej gwary śląskiej. Nieliczne osady kolonistów niemieckich, które dochowały swoją ludowość nienaruszoną, przez swoją rzadkość i wyraźną odrębność są raczej dowodem nadzwyczajnej żywotności kultury ludowej tutejszej ludności. Jeśli do tego dodamy fakt, że nawet tam, gdzie język niemiecki wszedł do codziennego użytku, nie wyparł polskiego języka w całości, że do dnia dzisiejszego większość ludności tych t. zw. zniemczonych obszarów mówi w razie potrzeby po polsku, to otrzymamy obraz z punktu widzenia niemieckiego wcale nie wesoły.

Na tle tych rozważań zrozumieć rozpaczliwe usiłowanie etnografów niemieckich ostatniej doby, zmierzające do zaliczenia elementów kultury ludowej Śląska do kultury ludowej plemion niemieckich, a co najmniej sprowadzenia ich genezy od wspólnego pnia niemieckiego.

Wiek XIX jest świadkiem wprowadzenia szerokich mas ludowych do szkół. Było rzeczą naturalną, że przy nauczaniu posługiwano się językiem macierzystym dzieci. W ten sposób powstała na Śląsku sieć szkół polskich rzadka wprawdzie, która dała jednak ludności zadatki oświaty, pozwalające jej przetrwać najcięższy okres. Tym pierwocinom szkolnictwa zawdzięczamy rozkwit czasopism polskich i nadzwyczajne rozbudzenie życia polskiego XIX wieku.

Nie mogły te nieoczekiwane skutki ująć uwagi czynników niemieckich. Rozkwit świadomości narodowej wśród obcego sobie żywiołu zadrasnął ich dumę narodową. Do szkół zaczęto wprowadzać język niemiecki w przeświadczeniu, że ta zmiana wywołała równie gwałtowne upowszechnienie poczucia niemieckości wśród ludu. Około 1870 roku ostatnie szkoły z językiem wykładowym polskim przestały istnieć.

Wynik tego zarządzenia antypolskiego był fatalny. Dziecko polskie, wprowadzone w obcy sobie świat szkoły niemieckiej, nie rozwijało się, tępiąco, stało się lekliwe, przestawało wierzyć we własne siły i z tą rdzą, rodzącą poczucie mniejszości, wchodziło w życie. Tragizm było to, że jednostki tak wychowane najczęściej już przez całe życie nie dochodziły do uświadomienia swej wartości istotnej. Obce nauczanie niemieckie nie tylko że nie podniosło oświaty wśród szerokich mas na Śląsku, ale wprost przeciwnie, obniżyło ją w nieprawdopodobny sposób. Niemiecka polityka oświatowa tego faktu nigdy zaprzeczyć nie mogła. Dotyczy to zwłaszcza okresu po zwycięskiej wojnie francusko - niemieckiej. Przepadały wówczas wspaniałe owoce szkolnictwa polskiego. Jeszcze znaczna część ludności śląskiej czytała i pisała wówczas po polsku. Odsetek piśmiennych był znacznie większy, niżby się tego można było spodziewać po rzadkiej sieci szkół ludowych, a żywotność kultury polskiej tłumaczyć może fakt, że słowo polskie pisane polawia się mimo wszystko tam, gdzie by sobie tego zapamiętał jego tępiciele najmniej zyczliwi.

Oto pierwszy tam protokołów gromadzkich pewnej wsi w powiecie pszczyńskim zaczyna się wstępnym protokołem w języku polskim. Wykalkulował go pięknym piśmem sam wójt tej gminy, świadomy Polak, człowiek tutejszy, przykład i przywódca włościan z całej okolicy. Potem zabrał się do pisania miejscowy nauczyciel i odtąd szło już wszystko przedowo.

W protokołach gromadzkich innej wsi tego samego powiatu uderza na-

szę oko protokołów napisany ręką nie-wprawną, piśmem koślawym. Jest to znowu protokół napisany po polsku. Okazuje się, że miejscowy nauczyciel wyjechał, a wójt zebrał gromadę i trzeba było pisać protokół. Poradzili sobie mili kmiotkowie i spisali protokół po swojemu.

Nie poruszając ogromnej dziedziny listów prywatnych, z natury rzeczy badaniu mało dostępnych, warto zwrócić uwagę na rzadkie już dzisiaj dowody kasowe z drugiej połowy XIX wieku. Pełne są kwitów pisanych po polsku, najczęściej własnoręcznie, ręką prostych rzemieślników i chłopów, dostarczających podwód dla gminy.

W księgach protokolarnych t. zw. sędziów rozjemców jeszcze na krótko przed wojną światową widzimy protokoły pisane w obu językach na wyraźne żądanie stron, do czego według odnośnych przepisów miały prawo.

Można by te przykłady mnożyć. Jakżeż wymownie świadczą one przeciw twierdzeniom niemieckim, głoszącym, że przed wprowadzeniem szkół niemieckich ludność tutejsza była niepiśmienna.

Okres „Kulturkampfu” zmiata resztki szkolnictwa polskiego na Śląsku.

Niemiecki nauczyciel wyręcza teraz zazwyczaj polskiego autochtona w wyrażaniu myśli w piśmie, przekręca niejednokrotnie sens wypowiedzianych zdań, często nie może sobie poradzić z tłumaczeniem jednych wypowiedzi, ale wyręcza mimo to, wyręcza ze złą intencją, bo z ukrytą myślą utracania polskiego słowa w piśmie. Z uporem godnym lepszej sprawy wołać mieć do czynienia z ludnością niepiśmienną i spełniać za nią czynności pisania niż wprowadzić nauczanie w języku ojczystym.

Tylko w tych warunkach możliwy był taki stan rzeczy, że jeszcze w okresie wojny światowej połowa uczniów w klasie uchodzić musiała za uczniów niedorozwiniętych. Polskie dzieci, które gwałtem chciano nauczyć języka niemieckiego, języka tego najczęściej nie nauczyły się wcale, a nawet nie opanowały go na tyle, żeby z pożytkiem mogły uczestniczyć w nauce. Tylko jednostki najtęższe wybijały się jakoś, nie mogąc jednak współzawodniczyć z dziećmi Niemców. Zdawali sobie z tego sprawę sami nauczyciele niemieccy, którzy takich uczniów mimo wszystkich przepuszczali z klasy do klasy. Że chodziło często o materiał ludzki uzdolniony ponad miarę przeciętną, świadczyły wypadki po wojnie światowej, kiedy to właśnie z szeregów takich

zaniedbanych uczniów, dzieci Polaków, wyrosli najbardziej nieprzejednani przeciwnicy rządów niemieckich na Śląsku, kiedy to z grona zwykłych górników i hutników wyrosły najzdolniejsze jednostki organizacji powstańczej.

Ze zmianą suwerenności państwowej następuje w historii ludności śląskiej okres przełomowy. Ludność miejscowa przestaje być tylko tolerowaną. Język polski staje się językiem urzędowym, w języku tym odbywa się nauczanie oraz porozumiewanie się na szerokiej platformie stosunków społecznych. Zainteresowanie kulturą polską wzrasta ogromnie. Książka polska dociera wszędzie. Rozpowszechnianie wartości kultury polskiej przybiera tempo, które niezbitie dowodzi organicznego związania ludności śląskiej z polszczyzną. Obserwując to zjawisko czuje się, że nie ma tu narzucania czegoś obcego, lecz, że odbywa się proces wskrzeszania, który może sobie pozwolić na przeskakowanie wielu szczebli w przyswajaniu składników kulturalnych. Proces ten jest jakby przypomnieniem czegoś, co zeszło do podświadomości. Szybkość pojawiania się młodych talentów pisarskich ilustruje to zjawisko najlepiej. Społeczeństwo, któremu narzuca się kulturę i język obcy, chociażby było najgenialniejsze, nie wyda tylu nazwisk pisarskich jak to miało miejsce na Śląsku, ani nie wytworzy atmosfery, która daje pobudkę do tworzenia. Można śmiało powiedzieć, że na to, aby osiągnąć to samo, czego Polacy dokonali na Śląsku w ciągu lat 40 — 15, Niemcy potrzebowaliby 100 lat. Dopiero w ostatnich latach widzieliśmy pewne samodzielnienie ludności miejscowej na Śląsku Opolskim w wyrażaniu swych myśli w piśmie i języku niemieckim t. zn. po jakich 100 latach działalności szkolnictwa niemieckiego. Po stronie polskiej te same wyniki mieliśmy już po kilkunastu latach. Tu nawet starsze pokolenie, po przejściu zaledwie kilkutygodniowych kursów, umiało wyrażać się w piśmie. Nie zadziwi nas zatem spostrzeżenie, że np. w roku 1938 w górnośląskiej części Województwa Śląskiego zaledwie kilku nauczycieli spełniało funkcję pisarza gminnego, podczas gdy za czasów niemieckich na wsi śląskiej było to regułą. A oto przykład odwrotny: w jednej wsi powiatu lublińskiego był wójtem miejscowy kierownik szkoły, ale pisarzem gminnym — miejscowy chłop.

Spostrzeżenie to podkreśla może najdobitniej ujemną stronę bilansu oddziaływania niemieckiego na poziom kulturalny Śląska.

O linię polityki kulturalnej

(Dokończenie ze str. 1-e)

Jeśli program ten sformułujemy jednostronnie i po doktrynersku.

Jak się dotychczas okazało, nie zdały swego egzaminu ani biurokratyzowane państwowe instytucje krzewienia kultury ani powołane do współdziałania z nimi związki zawodowe.

Na tle tego ogólnego rozgardiaszu kulturalnego, jednym jaśniejszym punktem stały się siły rzeczy pisma literackie. Nie wszystkie się jeszcze wykrystalizowały i nie wszystkie dostatecznie ugruntowały, lecz faktem niezaprzeczonym jest, że wokół nich zaczynają się skupiać wszystkie twórcze lementy i wokół nich zaczynają się tworzyć ogniska myśli kulturalnej. Duża ich poczytność i atrakcyjność (zastępują w pewnej mierze książkę) sprawia, że te z nich, które nie zagubią się w eklektyzmie, mogą stać się ważnym czynnikiem oddziaływania społecznego w zakresie kultury. Różnice założeń i dążeń, jakie się pomiędzy nimi zarysowują, pozwalają przypuszczać, że w ogniu starć ideowych, w skrzyżowaniu w różnych kierunkach, idących zamierzeń szybciej i jaśniej ukształtuje się linia rozwojowa kultury polskiej, ustalą się linie polityki kulturalnej niż w gabinetach urzędników kultury czy w walcach z własną niemocą związków zawodowych. Już dziś możemy stwierdzić, że każde z tych pism realizuje mniej lub więcej własny, mniej lub więcej skryształizowany program kulturalny. I to jest dobre i zgodne z istotną rolą, do jakiej pismo literackie jest powołane. Jeśli zwyciężą kierunki reprezentowane przez jedno z tych pism lub przez pewne ich zgrupowanie, pozostałe zachowają rolę niezbędnego czynnika kontrolnego, którego zadaniem będzie uruchamianie na czas sygnałów alarmowych i podejmowanie we właściwym czasie działań ofensywnych.

Wilhelm Szewczyk

Pogrzeb Korfantego

Trzeba to ciało ponieść, trumne śląskapelną,
garść pieśni wyzwolonych w milczącej szkatule.
Teraz już darmo trumnę sztandarami tulić
i darmo wskrzeszać ciało śpiewaniem kościelnym.

W sercach kopalni, w dół speliły ognie hut,
zagwie przez mrok stąpają wzruszone i ciche.
Na wełnowieckich hałdach siadł kudłaty wicher
i dlonie osmalone w rozpacz niemej splótł.

Przyszli tutaj powstańcy umarli i głusi,
co pod stopą kamienną świętej Anny leża,
zanurzeni nad miastem w mroku jak w pacierzu
przyszli, by nas wielkością swoją zgnieść i zdusić.

Teraz już czas na wielkość, na pluski Bierawy,
nie oglądaj się w mroku, lecz na trumnę spójrz.
Nie włoż tu poeta żaden swoich róz,
choć w trumnie tej Śląsk niesie dymy swojej sławy.

Ulise ledwo szmerza domy wpół się kłonia,
trzask węgla przed pochodem w mrok strzela i gaśnie
Wkrótce noc czarne wrota nad Śląskiem zatrzaśnie,
jeno wicher sam bije się w pierś na ustroniu.

Maria Szajkowski

Wojciech Korfanty w Pradze

(W szóstą rocznicę śmierci)

Wojciech Korfanty odszukał mnie bez trudu w „oknie polskim”. Wiedział bowiem — jak mniej więcej każdy przybywający z Polski do Pragi inteligent — że przesiaduję w każdy wieczór w kawiarni Szroubka (Śrubki) na centralnym bulwarze św. Wacława; że tam zbiera się koło mnie najbliższa gromadka przyjaciół, zorganizowanych w rodzaj rzeczypospolitej Babińskiej; i że z tego „okna” rozpatrujemy możliwie na wesoło sprawy ważne i ważne, jakie niesie fala życia burzliwym łożyskiem czesko - polskiej „wzajemności” (i niewzajemności), od zamierzchłych czasów t. zw. Marcina Galla (pierwszego w dziejach czechofoba) poczynając.

Kto więc chciał mówić na ten temat nie w sztywnych ramach uniwersyteckich, ale szeroko i swobodnie nad oceanem czarnej kawy pod baldachimem tytoniowego dymu — ten szedł wieczorem do „polskiego okna”, gdzie był witany uroczystie wedle przyjętych przez tę gromadkę wiernych przepisów.

Przesunął się przez ramy tego „okna” w czasie dziesięcioletniego jego trwania piękny rząd polskich nazwisk, nieraz błyszczący czołowym połyskiem na pasmach nauki, sztuki, literatury i — polityki. Był to dalszy ciąg polskich „peregrynacji” do Pragi, które w XIX. wieku zapisywał Wacław Hanka — ja zaś ten wątek próbowałem w pół wieku później podjąć na nowo i w piśmie utrwalić.

I kiedy myślą nawracam do tych już niedysiejszych czasów (zamknęła je raz na zawsze katastrofa drugiej wojny) i „oczyma duszy” patrzę znów na owe otia kawiarniane, które wiązały ułecum dulce — jawi mi się w pełnej plastyce wyniosła postać Trybuna śląskiego ludu, przesłonięta krepą śmierci, której rocznica nadchodzi.

Odwiedził mnie Wojciech Korfanty w Pradze, ale nie przybył tu na chwilowy pobyt jako turysta, czy wstępowicz, czy też jadący dalej za zdrowiem do wód północno-czeskich kuracjusz, odwiecznym torem tej wędrówki, który znaczy się od czasów Saskich a błyszczy największymi imionami Krasickiego, Mickiewicza, Chopina, Towiańskiego i tylu innych.

Korfanty przybył tu boczną, ale niemniej tradycyjną kolejką polskich egzulantów politycznych, których prowadzi za sobą od końca XVI wieku Bartosz Paprocki, pisarz polsko - czeski, który posprzeczał się z Janem Zamojskim tak ostro, że aż z kraju musiał uchodzić i schronienia w Czechach szukać.

Inni polityczni emigranci, którzy idą za Paprockim po długim odstępie czasu — to ofiary polskich klęsk rozbiorowych i porozbiorowych, których gwałt wrogów a nie własna przemoc z kraju wynędziła. Nie należy więc historycznie do tego szeregu ani Korfanty, ani Witos, ani jeszcze inni, których już na własne oczy na praskim bruku widziałem i dłoń ich ścisnąłem z mieszanym uczuciem szacunku i współczucia i głębokiego — zawstydzenia: że mój kraj, wyzwolony z obcego ucisku, aż tak haniebnymi metodami politycznej walki się chwytła, i na czystą, dopiero co otwartą kartę swych nowych dziejów rzuca plamę Berezę Kartuskiej i najlepszych, najbardziej zasłużonych swych synów z czasów niewoli katuje fizycznie i moralnie, i do bezpłodnego przebywania na wychodźstwie ich zmusza wtedy, kiedy byli tak bardzo potrzebni w odradzającej się Rzeczypospolitej.

Są to wspomnienia smutne, ale niepodobna się ich pozbyć, kiedy się myśli o tych latach, spędzonych przez Korfanteego w praskiej próżni, choćby nie absolutnej — bowiem i

tu działał „pan prezes” w sferze zagadnień politycznych i wydawniczo-publicystycznych (w związku z katowicką „Polonią”); lecz to działanie było z natury rzeczy ograniczone, ułamkowe, na poły konspiracyjne, i w żaden sposób nie wyczerpywało tej olbrzymiej masy energii Korfanteego, która tak bardzo była by się przydała w ojczystym kraju.

W Pradze prowadził Wojciech Korfanty żywot samotniczy. Myślę, że należałem do bardzo niewielu ludzi, z którymi stykał się stale i przebywał codziennie na dłuższych pogawędkach.

Wieczornych zebrań w „oknie polskim” unikał, bowiem nie chciał spotykać tam ludzi oficjalnych i pół - oficjalnych, którzy tam nieraz zachodzili; więc przychodził z odległej willi, w której mieszkał, do „okna”, ale po południu, na czarną kawę i na stałe spotkania ze mną —

samowtór. Gniewało się z tego powodu poselstwo R. P. w Pradze i krzywiła nosem ulica Wierzbowa w Warszawie, już bardzo niezadowolona z powodu mojej współpracy w „Kurierze Warszawskim”.

A cóż dopiero, gdy na stały, choć Pomimo to dalej spełniałem spokojnie swój obowiązek wobec rodaków, którzy przybyli z kraju i mieli czyste sumienie.

przymusowy pobyt przyjechał Wojciech Korfanty, który Polsce wywalczył połowę Górnego Śląska i tej piastowskiej ziemi był pierwszym w pruskim Sejmie bojownikiem, sam wyszedłszy z jej łona i drogą samouctwa wspiąwszy się na szczyt drabiny intelektualnej. Wszak była to jedna z najpiękniejszych postaci (także w dosłownym znaczeniu męskiej urody), jaką w czasach najstraszliwszego ucisku pruskiej hakiety wydały ziemie zachodnie. Prze-

cie to przede wszystkim Korfanty te ziemie dźwignął z wiekowego letargu, on o nie walczył słowem, piórem i czynem powstańczym z nieustraszoną odwagą, którą i Niemcy skanej części zmarnowanego przez podziwiali. I On polskość tej odzwojców dziedzictwa Piastów utwierdził przez swoje katowickie wydawnictwa, mimo i wbrew rzucającym sobie pod nogi kłodom coraz grubszym, coraz obrzydliwszym, coraz bardziej ohydny. Najszeptniejsza to bodaj karta w dziejach reżimu byłych „sanatorów”, posługujących się paką zbirów, gdy zabrakło argumentów.

Musiał przyjechać Korfanty na praskie wygnanie z poczuciem głębokiej krzywdy, ale nigdy o tym nie mówił, ani się nie skarżył. W kawiarni siadywaliśmy obaj nad stołem pism, zbierając dziennikarski materiał i nawzajem go komentując. Rozmowy toczyły się stale i wyłącznie na jeden i ten sam temat: sprawa Polski. Z tego powodu najczęściej podziwiałem hart i niezłomność ducha polskiego egzulanta, dla którego troska o przyszłość Polski nie przestała być nigdy zagadnieniem najbardziej centralnym i wcale nie osłabionym przez osobiste doznania ze strony ówczesnych sterowników nawy Rzeczypospolitej.

Nie o własnej satysfakcji, ale o zabezpieczeniu zbiorowej doli myśli Korfanty w ostatnich, praskich latach swego życia. Widział i dobrze rozumiał, że największe, śmiertelne niebezpieczeństwo grozi Polsce ze strony germańskiej hydry, którą zwalczał przez całe życie. I w Pradze wszystkie jego poczynania szły po tej linii. W tym duchu pragnął jak najgłębiej czesko - polskiego „zblżenia”, utrzymując stosunki z ówczesnym stronnictwem czeskich agrariuszy, którzy wtedy chętnie rozmawiali na temat czesko - polskiej „federacji”.

Ta myśl federacyjna stała się w owych przedwojennych latach podstawą politycznego programu, który układali w Pradze pod „zielonym sztandarem” przedstawiciele t. zw. frontu Morges, zwanego tak od szwajcarskiej posiadłości Paderewskiego, również wygrzonego z kraju zawiścią „sanatorów”.

Budowali ten front zjeżdżający do Pragi z Moraw Wincenty Witos, tak jak Korfanty polityczny wygnaniec, i przejeżdżający do Francji Sikorski, równie odsunięty od wszelkiej działalności publicznej. Jeździli w tej sprawie do Paderewskiego, zwłaszcza pełni niepokoju od chwili, kiedy polski rząd zawarł traktat „przyjaźni” z „totalistyczną” Rzeszą Adolfa Hitlera. Wtedy odwieczne niebezpieczeństwo, grożące w pierwszym wypadku przede wszystkim obu zachodnim narodom słowiańskim, zawiśło ciężką chmurą nad ich głowami — i tylko ślepi ciągle jeszcze go nie widzieli, wadząc się dalej o mur graniczny, kiedy już podstawy ich bytu były zagrożone. Nie dostrzegali go polskie czynniki rządzące nawet po haniebnych uchwałach monachijskich, trwając w samobójczej ślepotie aż do ostatniej chwili, gdy fala najazdu dosięgła już progów polskiego domu.

Nie przeżywałem tych patetycznych momentów w Czechosłowacji. W lutym 1939 roku wyjechałem do Polski na objazd odczytowy. Z Korfantym pożegnałem się przed odjazdem, nie przeczuwając, że już nigdy się nie zobaczymy. Zjedliśmy obiad we francuskiej restauracji i wypiliśmy kieliszek Bordeau na pomyślność nowych czasów. Mówił mi, że i on zdecydował się wrócić do kraju i że jest przekonany, iż nie spotka go tam żadna większa przykreść, mimo rozpisania za nim listów gończych. Żaden z nas jednak nie przypuszczał, w jakim morzu łez i krwi będą się rodzić te nowe czasy — i że wcale ich nie doczeka ten, który walczył o nie na swym twardym, śląskim posterunku.

Wojciech Bak

2 „Piątej Ewangelii”

Mosty pochwalam — gdzie urwiśko
Kroki niepewne w przepaść strąca,
Buduję mosty nad otchłanią —
I — rozerwane — mostem łączę.

Człowieka z piaskiem, słońce z śmiechem,
Izy z obłokami, oddech z świtem,
Słowa spokrewniam z lotem ptaków,
Popioły z dumnym róż rozkwitem,

Tańczących z lasem, gniewnych z górą
I błyskawice z pokornymi,
Włewiórki z miastem, ciszę z chmurą
I dzieci krzyk z kominów dymem.

Mosty buduję. Między szczygłem
A gwiazd krążeniem most wyrasta —
I z pustyniami połączone
Puszcze — a z puszcza wsie i miasta...

W czasie dzielenia i zrywania
Każdego mostu — tworzę mosty —
Ponad chaosem rozerwanym
Mój trud unosi się radosny.

W mieście przechodząc, w oczy gniewne
I w dłonie napastliwe patrzę —
I most buduję nad nienawiść
I ponad mściwy krzyk rozpaczę —

Gdy ojciec nienawidzi syna,
A syn skonania ojca czeka,
Gdy matka dzieci zapomina
I od zgłodniałych warg ucieka,

Kiedy wisielców pełne lasy
Na pokarm kruków w wietrze stoją —
Gdy — godła skłóconego czasu —
Obozy się więźniami roją...

Gdy groby zamieniono w rowy
Tysiącom żniwu karabinów —
Gdy matki z pięt płonących z płaczem,
Na lżejszą śmierć zrzucają synów...

Gdy mądrzy mądrze podzielili,
Że czasu brak na zbicie trumny,
Bo zbyt bogate żniwo śmierci —
Mosty buduję — nierozumny.

Między człowiekiem a człowiekiem,
Między człowiekiem a północą,
Spokrewniam ludzi z wschodów blaskiem
I z wróblem, który mknął trzepocąc.

Z ulicą zadyszana tłumem,
Z chłodną pogodą domów ściany,
Z płaczem płaczących, z śmiechem śmiesznych
Z kamieniem stopą tratowanym.

Z lasami, rzeką, gwiazd przelotem,
Z pyłem na drodze, z kobylą rżeniem,
Z wodą, powietrzem, z żywą ziemią,
Z tańczącym w blasku skier płomieniem

O, budowniczy, który tęczę
Związujesz ziemię z dumnym niebem,
Prowadź mą dłoń tworzącą mosty,
Kieruj mym śpiewem!

Józef Ryska - „Szczepoń”

Dni powikłane

Przed kilku tygodniami obiegł polską prasę literacką wiersz nieznanego z nazwiska poety-Słazaka „Szczepoń”. Wiersz ten znalazł się również w antologii poezji wojennej, wydanej przez K. Wykę. Obecnie udało się nam zebrać garść szczegółów, dotyczących „Szczepoń”; zawdzięczamy je — jak również poniższy fragment prozy — p. Zbyszkowi Bednorzowi.

„Szczepoń”, którego właściwe nazwisko brzmi Józef Ryska, był przedstawicielem najmłodszej generacji literackiej Śląska. Poprzez nędzę, bieda — czyby i ciężką pracę fizyczną uparcie pisał się w górę, by w pierwszych latach wojny zdobyć swój własny poetycki wyraz. Z tych nielicznych prac, które po „Szczepoń” zostały, wynika, że był to talent niepowszedni, który wnosił do literatury polskiej istotne cechy ducha śląskiego.

Wojnę spędzał w Warszawie. Na jesieni 1943 r. złapano go w czasie ulicznych łapanek. Na jesieni 1943 rozstrzelano go w jednej z warszawskich egzekucji ulicznych.

Większość jego prac spłonęła w powstaniu warszawskim. Red.

Tramwaj po prostu skręcił z jednego szyn na drugie i pojechał z powrotem. Przeraził wyły syreny alarmowe; niebo było gwiaździste i zimne; widziałem to zimno białymi pasmami snujące się po niebie. Ludzie biegali w jesionkach, kożuchach, a ja nie czułem nic. Nie zastanawiałem się nawet, dlaczego tramwaj zawrócił tak nagle. Jakto! tak z jednego szyn od razu na drugie w odwrotnym kierunku, przecież nigdy w ten sposób nie jeździły tramwaje, zresztą co mnie to obchodzi. Idę środkiem ulicy, wszyscy i wszystko biegnie w kierunku dworca; do Placu Zbawiciela, nikt, boją się, tam będzie naloć, a ja właśnie pójdę; jest godzina dwunasta w nocy a świta, coś mnie to wszystko obchodzi; niech się robi co chce. Wiem, że tu na Wspólnej mieszka mój przyjaciel i znosi teraz ciężkie bagaże do schronu, rodzina każe. Jak to dobrze, że jestem sam, sam jeden jak palec, ot — ten wskazujący. Zawsze przy takim w przenośni użytym powiedzeniu, myśli się o wskazującym palcu, jest na nim odciśnięty noża — w zeszłym roku pracowałem jako robotnik w fabryce skóry, krajałem — stąd zgrubienie kości, przytrzasnąłem go szyną na hucie, jeszcze przed wojną. Pocciwy palec, stale robi mi psikusy, podczas mrozu nie potrafię go wyprostować. Syreny wyją coraz głośniejsze — a tam na Woli to już chyba plekło; nie byłem nigdy na Woli, ale mówiła mi znajoma, bo tam są fabryki. Stałem w bramie, nie warto iść dalej, jeszcze Niemcy będą strzelali. Na pewno teraz moi gospodarze schodzą z krzesłami do piwnicy, bardzo zabawni ludzie, pukają przez ścianę, oznajmiając sobie wzajemnie, że alarm, są tak zdenerwowani i komiczni przy tym, że pekam ze śmiechu. Zagniewani krzyczą na mnie, że alarm — toż wiem — nie pomaga, dobroduszy gospodarz podchodzi do mnie, ma wykrzywioną złością twarz — dziwi mnie to niepomierne — słyszysz! alarm Zbyszku! — słyszysz! słysze, nie trzeba mi powtarzać, stop... ale dlaczego Zbyszku? — tak Zbyszku, właśnie Zbyszku. Śmieję się serdecznie, a to złośliwy starzec, chce mi dokuczyć i nazwa mnie Zbyskiem.

Przebudziłem się raptownie, syreny wciąż przeciągają, płaczą, ludzko niemal — leżę na ziemi, macam, kołdrv, palta, aha... nocyje przecież u Zbyszka, jest rzeczywiście alarm i z drugiego nokoju dochodzi nodniecony głos — Alarm Zbyszku! — Mnie to nic nie obchodzi, nie jestem Zbyskiem, mnie to nie dotyczy, chce mi się spać, odwracam się na drugi bok, o ile mi pozwala przykrótki pled i... nie potrafię zasnąć.

Wiem, że pojade jutro, a może już dziś — która to godzina, ciemno, nie można palić światła — pojade do Radomia, ucieknę stąd, boję się! Nie! nie boję się, nudzi mnie to, śmiertelnie nudzi. Tydzień bezowocnej egzystencji. Egzystencji? Szkodliwego wegetowania, grzeszę, żyjąc; boję się odpowiedzialności przed przyszłością, coś dałem jej? nic i okłamuje siebie samego, innych. Chytrze uśmiechając się sumiennie toleruje to, uważa, że wystarcza, jak na mnie. Nie chcę znać sumienia, kto mówi o sumieniu? Nie ma sumienia, to bajka, plotka, imaginacja

starczych umysłów! Jest rozum, inteligencja, to tu pod czaszką — tu, gdzie dostałem raz kijem, miałem guza, zdaje się że dziurę też. — Nie ma sumienia, przeżytego gdzieś w piersiach, koło serca — tak sobie przynajmniej wyobrażamy — nie ma, nie ma, jest rozum, mózg w głowie, w skroniach czuję zawsze nawał młwsi, żal, ból, wszelkie przejawy życia tu w skroniach, koło uszu.

Tydzień objam się po Warszawie, śpiąc raz tu, raz tam, jem co się da i gdzie się da, bezczelnie wprasam się na śniadania, obiady. Nic nie mówiąc, robię minę głodnego wilka w puszczy — zapraszają mnie — certują się i ostatecznie jem, żrę. Poza, poza psiakrew. Że też nie można pozbyć się tej naleciałości cywilizacji, kultury. Chciałbym podejść, powiedzieć po prostu: jestem głodny, dajcie żręć — nie dadzą, to wyrznięć w gębę, zabrać, najęść się. Po co? Po co istnieją te wieży rzekomej kultury; nie uznaję tego za kulturę, to fałsz, obłuda, inaczej uzmysławiam, sobie wiekowy dorobek ludzkości.

Nie mogę mieszkać we własnym domu, komiczne ale prawdziwe. Szukają mnie, uciekłem z transportu robotniczego do Rzeszy i szukają mnie, może jeszcze nie szukają, nie wiem, do domu nie chodzę, gospodarze tak się boją o swoją skórę, że nie pozwalają mi przychodzić. Nie mówili tego, ale czuję. Spałem przez pierwszych parę nocy u siebie, to oni nie spali ze strachu, komiczni ludzie.

Rano zjadłem śniadanie; gdyby to było wieczorem, posiłek ów zwałby się kolacją. Jak to proste, więc po co myśleć, świat przemyślał już każdy szczegół, nie ma miejsca na nowości, czemu więc ciągle we łbie wałęsać się, jak obuchem.

Środkiem chodnika idę, w ogóle nie lubię chadzać bokami, jak pies; zdarzył mi się kośćmi obcas wałęs nieumysłowności po płycie betonowej, zawsze lewy but, nie wiem, dlaczego, czyżby wada nogi. Ostatecznie dlaczego pies, o wiele lepszy jestem od psa? czytałem niedawno książkę Londona, bohaterem powieści był pies, Buck, stwierdziłem wyjątkową analogię naszych istnień, w czym różnica? że on Buck, a ja Józef, że on pies, a ja człowiek, problematyczny człowiek, co za człowiek, odmienny, niż ci, których tysiące mijają mnie w tej chwili na chodniku. Noszę jarzmo dysonansów myślowych, niepewności, wiecznej klótni z życiem, jak on Buck, przyzywa mnie coś, gdzieś, a nie mogę się pozbyć tego jarzma, z sadystyczną w stosunku do siebie podłością wracam do niego, czepiam się kurczowo jego rzemieni i ciągnę, ciągnę w nieskończoność. To nie jarzmo żony, pół czy tuzina dzieci, pracy mechanicznej, zwierzęcej, monotonnej, ośmio-dziesięciogodzinny pobyt w biturze, fabryce, kopalni. To nie jarzmo

kultury, z całą „familiją” konwenansów”, elegancji, uczoności etc. etc.

Kultura, znowu wracam do niej, dlaczego? to nie ja, to oni! powywieszali chorągwie, swastyki. Dzień 27. IX. 42 roku w Warszawie: „Kulturtag”, dni kultury. Opodal łapią na roboty, stoi samochód, duży, plandeka, okienka małe i wystraszone twarze nieszczęśliwych. Ludzie uciekają i ja uciekam. „Kulturtag” — ulice puste, szare, słońce wzięło rozbrat z kulturą, wczoraj, przedwczoraj świeciło, dziś nie, jutro znowu, wiem! przecież to symboliczny dzień, nie wolno mu świecić, teraz wojna, a plotkarskie języki potrzebują powiedzieć: — patrz pan, jak ich zaćmiło, to znak, że już nie długo — i z tajemniczym uśmiechem „na ustach” taki pan odchodzi. Z tajemniczym uśmiechem i koniecznością „na ustach” trzeba dodać; bez tego, zdanie traci efekt, jest bezbarwne, coś w nim brak — tak twierdzą ci, którzy kurczowo trzymają się zasad tej kultury, kultury, której probierzem jest rozbój, morderstwa, łapanki. — Czyż można śmiać się ręką, nogą, wasem, nie! niektórzy twierdzą, że można oczyma, zaciętrzewieni każą patrzeć na psa, że on oczyma i ogonem, a dlaczego to akurat ma być śmiech, a nie gimnastyka ogona, obłeśne zadowolenie, nerwowość i wszystko inne, oprócz śmiechu.

Uciekam w kierunku placu Trzech Krzyży, a nademną łopoczą sztandary swastyk i dni kultury. Postanowiłem, że zmienię sobie wyrażenie „kultura” na inne, obmierzło mi, do cna. Mam w ręku pakunek, osiem par dziurawych skarpetek, podarte spodeńki kąpielowe, podarte buty i jedna cała koszula. Koszula na zmianę, trzeba się wykapać tam w Radomiu, a resztę do naprawy.

Odliczyłem równo siedem nieparzystych numerów Hożej i mam drugie piętro, dzwonek staromodny — pamiętam, w naszym miescie taki sam miała akuszerka — otworzyła mi Krystyna, uśmiechnięta przyjaźnie, jak zawsze — siadłem na tapczanie.

Siedziałem dwa dni, spałem? nie! byłem w Radomiu przez dwa dni i teraz znowu siedzę u Krystyny, siedzę jak przedtem, niedbale rozparty, obok mnie pakutek, osiem par dziurawych skarpet, podarte buty, koszula na zmianę — nie wykapałem się — podarte spodeńki i siedzę jak dwa dni temu, obserwuję z zacięciem czubki swych zielonych butów, zielone buty z brezentu, przysiągłbym, że w danej chwili nic mnie więcej nie absorbowało, jak czubki moich butów.

Wyrzucili mnie na pysk, to znaczy ona — ciotka — mnie wyrzuciła, z nim piłem wódkę, zakąsiłem białą bułką, kielbasą; wyjął pięćset złotych i zapłacił — „dziś płaca jo” — wyrzekł — zgodziłem się skwapliwie — niech płaci — „tyś jest pieroński filozof” — i na to się zgodziłem. Czułem w głowie

szum, w wygłodniałym żołądku wódka szybko robiła swoje. — „Tyś jest pieroński filozof” — powtórzył i schwylił mnie za kłapy marynarki. Patrzyłem na niego milcząc — na zalanej alkoholem twarzy żłabił się wyraz chytrej złości, połączonej z jowialnością. Potrząsnął mną z pijackim zapalem do bójki — „tyś jest pieroński filozof” — wyseplenął po raz trzeci. — Wstałem — no i co z tego — złościło mnie to, nie grzeszyłem cierpliwością. Patrzył na mnie przez chwilę w skupieniu — „wynoś się pieroń!” — szarpnął mnie mocniej za kłapy. Gotowałem się do palnięcia go w szczękę, stał na chwilejających się nogach i czekał, czekał, a spod pijackim grymasem skrzywionej gęby, wyzierały niespokojne oczy, czekał na moją reakcję. Wiedziałem, że mu na mojej osobie zależy i obecne jego zachowanie miało maskować to uczucie, wstydził się tego przed samym sobą, on potentant wojenny, a ja golec. Posadziłem go na krześle, — „wódek! panie starszy i piętnaście deko kielbas” — wypiliśmy — „filozof, filozof” — mówił sam do siebie przeciągając te wyrazy. Teraz ja wziąłem go za kłapy — „chodźmy do domu” — zgodził się. Nasunąłem mu na uszy kapelus i wyprowadziłem. — Ona patrzyła na mnie z ukosa, więcej upartości i złościwości nie może się już skoncentrować w jednej kobiecie! — Szukają mnie po Warszawie, chciałem tu tydzień przeczekać — nie pozwolili.

Siedzę znow u Krystyny, patrzę w lustro, obserwując swoją fizjonomię — nie, nie jestem wariatem, oczy zbyt wyraźnie patrzą w moje odbicie — a ona nazwała mnie wariatem — „ty i brat” — powiedziała — „obaj jesteście zwariowani, g... jesteście”. Hm może, może, nic nie gadałem, stałem, słuchałem, nie wierzyłem jej. — „Po co przyszedłeś” — zapytała — „pokłóciłeś się raz, a mimo to wracasz, gdzie twój honor, ambicja” — zabolalo mnie to nieźmiernie, wciąż milczałem, a ona umacniała się tylko w swoich słowach, bo milczałem, nie broniłem się. Zaiste! o wiele wygodniej jest, nie wałęsać się przez trzy lata po Rzeszy, Gubernii, nie głodować, nie być uczciwym, a być volksdeutscherem!

Krystyna częstuje mnie obiadem — jedz! — prosto a szczerze, jem, przeżuwać powoli z namaszczeniem, czekam na Marcina. Ma nogi wysmukłe, „kobieco”, jak je określam — Krystyna, nie Marcin — patrzę na nie stale, kiedy jestem u niej, a nie fascynują mnie, ot tak z przyzwyczajenia. Naprzeciw ulicy na balkonie stoi młoda dziewczyna, patrzy zawzięcie w moją stronę, udaje, że właśnie nie w moją, odchodzi w głąb pokoju, podnosi spódniczkę, że niby pończoszka — kokietka, taka młoda, a zmarnuje się na pewno, żal mi jej — ma dom, rodzinę — widzę — biurko, półki, książki, fatałaszkę, lepszy dom, a ja mam osiem par dziu-

Antoni Nawka

Pod hrodziścom

Glossa pierwsza.

Oto wspomnienia młodego Łużyczanina. Kiedyż to była ta skhadżowanka dobrych łużyckich duchów? Data tu nieważna i pora dnia nieważna. Wszyscy tu się zgromadzili, którzy jeszcze żywi. Autor przeszedł straszną wojnę i wraca przez Polskę do ojczysty maculczkich i najwięcej pokrzywdzonych, do swoich Łużyc. Jest to nie tylko droga powrotna ale i mocne pozdrowienie młodzieży łużyckiej, przekazywanie im testamentu ojców, wszeptanego w jasne usta lipcowej nocy.

Noc jasna lipcowa w r. 1934. W konarach dębów i olch, nad nami i koło nas, gonią się „wetrikec hólcy” — chłopcy wiatru i wygwizdują różne, skoczne melodie, tańce i marsze. Może je po drodze z południa ku północy leć uchwycili w niedalekim Radyborze, gdzie w katyńskim na dużej sali bawi się młodzież serbska. Zakończenie to zlotu „Domowiny”, naczelnego Związku Serbo-Łużyczan. Wszyscy, co krwιά i sercem, duchem i duszą, odczuwają przynależność swoją do narodu łużyckiego. Kto tylko mógł, czy to pieszo, czy na rowerze, powozem, samochodem lub

pociągiem, przybył do Radyborja, aby zadokumentować swoją „serbskość”.

Uciekliśmy z zapadającym wieczorem z Radyborja, który nas pięknie i hojnie przez cały dzień ugościł, na Hrodziśco pod wioską Bronjo, by tu odpocząć w ciszy aksamitnej nocy.

Patrzę na ciemne, złowrogi hrodziśco, gdzie przed tysiąc laty może serbscy bojownicy, gotowi do bezwzględnej walki z najeźdźcą germańskim, gromadzili się, szykowali do starcia z wrogiem. Być może, że nawet sławny Miliduch, książę milczański, tu był, gdzie my teraz siedzimy! Przeszło tysiąc lat upłynęło od tamtych krwawych dni. Jednak dużo nie zmieniło się — system chyba tylko i metoda, — walka trwa ta sama: tam zaboreczy, brutalny imperializm niemiecki, — tu bronią się przednią straż Słowiańszczyzny. I liczyby uległy zmianie: po tamtej stronie sto milionów — a nas garstka niedobitków! przytłaczająca kapitał z nimi — z nami bieda, grosze tylko...

Przez liście dębów przeleciała znow zgraja tych chłopców wiatru, zatrzymała się, pohaństała w wierchołkach, zagwizdała, ale smetniej i tkliej. Czy naumyślnie zmieniły wiatry swoją melodię? Czy powiedzieć chcą nam, że nie

wolno widzieć przyszłości w kwiatach, w wolnych sztandarach?

Zadumany siedzę na trawie, patrzę w niebo, w gwiazdy, gdzie czeka, spokoj, wielki, głęboki, niepojęty spokój. Doleciały mnie strzępy rozmowy, słucham. Tak, to nie głosy duchów, starych naszych rjeków, to nie narada dawnych przywódców, którzy tu właśnie śpią pod dębami, polegli po spełnionym obowiązku, to słowa z ust dzisiejszych bojowników narodowych.

Widzę Pawła Nejdona „wjednika Domowiny”, jest też ks. Józef Nowak, poeta i proboszcz parafii radyborskiej, tam zaś siedzi Jan Skala, czołowy publicysta i rzecznik Łużyczan na forum światowym, obok niego wyklada Michał Nawka, językoznawca i nauczyciel z Radyborja słynnemu artyście-malarzowi, Marcinej Nwakej, coś z syntaksy łużyckiej, bo usłyszałem słowa: „Pokiwy pyskiej a pjern”, a wiem, że ojciec pracuje właśnie nad podręcznikiem językowym pod tym tytułem. O, spozstrzegam jeszcze wielu innych znajomych, uczestników tej nocnej wy-cieczki, niby akademii starogreckiej pod gołym niebem.

Z niedalekiego „Nowego amata” (nowe jezioro), spoczywających w amfiladzie wysokich dębów, przynosi wiatr z duch sitowia, wody i lasu. Nie słucham. Wspomnienia wionęły ku mnie wonią lat dziecińczych, przewracają mi radość beztrudną zabawę i pierwszą bojaźń przed „wodzanom” (wodnikiem), co wiodł śliczną pannę i zamknął we

rawych skarpet przy sobie i czekam na Marcina. Takie spokojne słoneczne niebo, taki jednostajny zamarły ruch na ulicy, jak przed wojną, miasto nie krzyczy trwogą łapanych, jest Warszawa wciąż roześmiana, bawiąca się — w każdym bądź razie nie widać nigdzie rozpacz — mówią, że Warszawa jest najweselszym miastem wszystkich terenów okupowanych.

Przyszedł Marcin, niski, w letnim paltoku, z ogromną czaszką, jest moim przyjacielem i ma o piętnaście lat więcej ode mnie, nie jest znowu taki niski, a robi wrażenie filigranowego człowieka, twarz sucha, kości sta, ogromne w stosunku do twarzy okulary i ten skromny nieśmiały wyraz twarzy. Robi wrażenie prowincjonalnego pisarza w gminie, obarczonego likiem domowych trosk i tużem dzieł. Patrząc na niego, ma się wrażenie, że jest przeciętnym zjadaczem chleba, popchniętym jedynie przez pomyłkę losu na szerokie tory życia. Patrzy na mnie, uśmiecha się dobrodusznemu i przytakuje — słusznie, słusznie, masz rację, więcej nie jedź do Radomia. Czekam wybuchu, gromów, nie nikną gdzieś zmęczone oczy za murem okularów i patrzy skromnie w idiotycznego papierosa. Wypala nimi dziury nam i sobie — wina tytoniu, grubo rznięty — kocham go, jakim jest.

„A wojna?” — pytam — małeńki błysk oczu, przytłumiony przymatem okularów, wyraźniejsza ostrość kantów twarzy — „dobrze!” — cisza. Przeglądam się z zaciekawieniem, skurczona w fotelu postać, gąbka człowieka bezruch, dynamiczny, wewnętrzny wulkan entuzjazmu podporządkowany gozdzinom dni, miesięcy, lat pracy, pracy mrówczej, upartej, chłopskiej. Marcin! Czuję się tak małym, przerastając go o głowę. Widziałem tylko plecy, ogromny kapelusz, teczkę, nieodżowną teczkę pod pachą i dym z wiecznego papierosa — poszedł.

Przyjemnie jest być bezdomnym, wiedzieć, że się nie ma dokumentów, wahać się po ulicach, patrzeć chytrze w twarze przechodniów, podejrzawać ich o funkcje łapaczy „arbeitsamtu” i być niczym, nicością, jak błękitne prześwity świat, Bóg, daleki i niedosiężny. Pieśnią kopyt dorożkarskich, hamulców tramwajowych, aut, upajając się, chłonać ciepła ostatnich dni wrześniowych, ha, ha, ha!

Je jabłko, duże soczyste jabłko. Cieknie z ust ślina połączona z sokiem, tryśka kropelkami na strony, zawsze tak bywa z dużym soczystym jabłkiem — płonka — przypomniało mi się, słychać charakterystyczny trzask, pęka skórka i całe jabłko pod naporem zębów, przeciągły syk, świst wciąganej powietrza z sokiem, mlaskanie i... nieodżowna reakcja moich szczęk i śliny, skurcz.

Nie wiem, dlaczego kobiety młode, strojne, twierdzą że inteligentne, jedzą jabłka na ulicy. Mówiła mi jedna, że to nie wypada, a poza tym wiem o siedmiu złotych w kieszeni i widzę małą karteczkę nad stosom owoców straganiarskich, z tą samą cyfrą w stosunku do pół kilo. Kupię sobie jabłek — musiałem w myślach wypowiedzieć to zdanie, aby w pełni zachłysnąć się świadomością tego faktu, a później so-

kiem. Zresztą samo stwierdzenie tej możliwości wystarczyłoby mi.

Patrzę na ludzi, hałaśliwie spożywając, jabłko, nikt nie zauważa, odechciało mi się, schowałem je do kieszeni. Zjadłem przecież u Krystyny porządną obiad, nie jestem wcale głodny, nie zależy mi na owocach — głupia baba. Podarowałem jedno żebrakowi — wpili się zaraz zębami łapczywie, kłaniał się parę razy, obrzydził mi, udaje głodnego, pomyślałem, nie lubię żebraków, płaszczących się służalców, stojących milcząc, skromnie, proszących oczyma. Wszystko poza, aby jak najwięcej użebrać. Zawróciłem na pięcie, zresztą nie zauważyłem, może na palcach — dałem żebrakowi drugie jabłko, kłaniał się jeszcze więcej. I ja żebrzę. Zebrzę przez całą wojnę, też poza, wmawiam w siebie, że nie, a jednak żebrzę. Daje mi Marcin pieniądze, wzdragam się, oponuję, a ciągle jednakowo zaciskam w pięści papierki, szmaty, chowam w portfel, obliczam skrupulatnie — ile obiadów, ile śniadań — ile kin. — w myśl hasła „tylko świnie siedzą w kinie” — świnia jestem, żebrzę mądrzej, chytrze, a żebrzę. Potrzeba mi rozrywki, odprężenia, muszę przeżyć wojnę — okłamuję siebie — i chodzę do kina.

Naplewał! jak żebrackie to żebrackie, jem jedno za drugim, ociekam sokiem, śliną i zadowolony odcieram chusteczką — brudną jak świat — usta. Bardzo to mądre powiedzonko: „brudny jak świat”, „stary jak świat” brrr, nie ma chyba nic brudniejszego od świata. Mimo pozorów błyszczącej moralności i estetyki życia, kryje w sobie prosty brud, a ja lubię ten brud, kocham go, odzwierciadla mi prawdziwość ludzkiej osobowości, zwierzęcości, odwieczne instynkty, nagie skłonności — nie maskowane przez płaszczyk pruderii, fałszywego estetyzmu, lubię brud. W brudzie widzę człowieka prawdziwego, jakim go Pan Bóg, czy szatan stworzył, nie kukłę, manekina, iks-wiecznej kultury. Zastanawiam się czasem, czy naprawdę Pan Bóg stworzył człowieka, nie! Pan Bóg nie mógł być tak złośliwy.

Nie jest wcale zimno, mógłbym tak spacerować w nieskończoność, zmierzcha już, nie wiem gdzie będę nocował, u Zbyszka nie wypada, u drugiego nie można, w domu?... phi, w jakim domu, już jestem wymeldowany, a poza tym tymbardziej nie można. Do Edka na Topiel... hm, pojedą do Moniczki na kolację. Bednarska x nr., drugie piętro, bułeczka z masłem. Twierdzi, że masło już stare, stęchłe, więc trzeba jak najszybciej skonsumować — nie chce mnie urazić — prosta, szczerą, jak wszyscy Ślązacy, a mimo to subtelna — udaje że wierze, palasz zastrasza, co, popijając prawdziwą herbatę. Wypalam jednego papierosa za drugim, darmo, więc jak najwięcej. Prowadzimy stale długie, obgadujące-pouczające dysputy. Mamy mniej więcej wspólne, szerokie a nieskrystalizowane poglądy — pójdę spać do Adama.

Niski, bardzo niski pokój, głową dotykam powały. Przechodząc przez drzwi, pod lampą, trzeba się schylać, żeby nie zahaczyć czubkiem i nie zblić sobie najcenniejszej części ciała. Robi

wrażenie literacko-malarskiego pokoju na poddaszu, a znajduje się na parterze na półpiętrze tuż nad bramą. Cały efekt psuje widok żelbetonowych filarów mostu Poniatowskiego — i nic, najmniejszego skrawka poetyckiego horyzontu — nie patrzę przez okno. Nieprzyjemne spojrzenie gospodyni, sterta książek „Silesiaca” i czubek rzadkich włosów wiecznie zapracowanego Adama. Zginął wśród książek i dla książek, niezmordowane pióro skrzypi swą starością po papierze, stuk maczanego w kałamarzu i znowu skrzyp żurawiego pióra. Chciałbym tu mieszkać. Przypominają mi się czasy, kiedy to — nie było tego wcale — siedziałem w takim pokoju, za skromnym stolikiem-biurkiem, żyjący własnym, zamkniętym życiem, pisałem. Był kominek, bo musiał być, wiatr hulał za oknami, szaruga, prosiło się śniego-deszczem — inaczej nie mógłbym wzniesić się na wyżyny Parnasu — lubię strasznie mgły jesienne i słońce.

Rozebrałem się leniwie, śnić mi się będzie alarm i tramwaj zawracający z powrotem, nie. Pojadę jutro do Lublina, zaryzykuję jazdę koleją i odpocznę, nuży mnie to, nuży śmiertelnie, ciąglej strach przed łapankami, nienormalność bytowania, to dobre, ale na dwa lub trzy tygodnie. Czuję, że pokój śmieje się złowieszczo, skacze w podrygach nerwowego chichotu wystająca z za książek głowa Adama. Pokonało mnie — co? nie wiem, skaptulowałem przed czymś, nad czym nie chce mi się myśleć.

I wiatr zaszeleścił blachą wystającego parapetu okna i jest tak przyjemnie, bosko, melancholijnie. Z okna trzeciego piętra widzę rozległy płat Lublina, upstrzony barwą domów, resztką zieleni jesiennej i słyszę muzykę szumu ulicy, skandowanie fox-trotowego rytmu kół chłopskiego wozu — jest mi tak dobrze z tą ciszą wewnątrz. Nie chcę myśleć o przeszłości, a tym bardziej o kartoflach, które mam przetransportować z drugiego końca miasta. Całunem chmur zasnuła niebo słońca, porwany wiatrem, czarnosiny dym z naprzeciw mieszczącej się palni chemicznej, rozdygotany, rozparzony, kłóci się z zimną, otaczającą go atmosferą i wsiąka w nią. Słońce czasami wychyliło na sekundę, psując cały nastrój dziwniej mojej sielanki. Zapomniałem o Warszawie. Czuję się taki spokojny, że mogę obserwować idącego bokiem starego muru człowieka — mężczyźne. Ma zapięty po samą szyję płaszcz, ręce splecione do tyłu i żółte buty. Idzie powoli, pochylona głowa patrzy uparcie w ziemię. Nie widzę twarzy, bo za daleko, a wiem, że ma duży nos i jest mocno zamyślony.

Dwa tygodnie siedzę w Lublinie, zaklepię w ciasnym pokoiku sublokatorskiego mieszkania. Mimo powszechnego strachu przed łapankami wychodzę codziennie na długie spacery, czuję się tutaj bezpiecznie, rodzinie, jakbym nie wychodził z obrębu mojego łabu. Twarze, małowieszczańskie twarze przechodniów, koją swym melancholijnym wyrazem — niepokój warszawski. Ludzie przystosowują się do tego typu miasta. Nawet Radom

nie stwarzał na mnie wrażenia miasta głuche. Lubie wahać się po starym mieście, po Starogrodzkiej, Karmelickiej, po rynku. Byłem parę razy w kinie „Rialto”, przykucniętym budynku, pośród zabudowań katedry i kościoła Karmelitów, mała ciasna sala o dwu piętrach, łóżach i galerii. Płuje stale z galerii na głowy siedzących poniżej. Gdy podczas seansu przysmakam oczy, widzę w łóżach rozpartą magnaterię lubelską, damy w krynolinkach, pobrzękujące szabelkami szlachetki i nędzną, jak na obecne czasy, reprodukcję sceniczną, oklaskiwaną hucznymi brawami.

Jak nie pasuje do tutejszego środowiska szumny plakat, obwieszczający krzykliwie występ znanych artystów warszawskich. Dlaczego psuje, mąćcie spokój starego Lublina?

Rzędem ciągną furmanki chłopskie z kontyngentowymi kartoflami, plac Świętoduski upstrzony starzyzną kożuchów i chust wiejskich. Dlaczego wprowadzacie w nadbystrzycki kół gród nowoczesności demoralizacji wielkomiejskiej, tu można spokojnie, na gruzach dawnego ghetta, a jeszcze dawniejszego miasta polsko-żydowskich mieszczan, pomarzyć, odetchnąć pełną pierś. Tu można, patrząc na zamek Kazimierza Wielkiego, zapomnieć o tym, że właśnie w tym zamku mieszczą się obecnie kazamaty gestapowskiego reżimu. Cicho tu i spokojnie. Psyka mi uparcie nad uchem mucha już jesień słotna, a wciąż jeszcze latają muchy. Kończy się mój pobyt w tym pokoiku i muszę wracać do Warszawy. Marcin przypomniał mi w liście, że jestem Józkiem. Nic takiego nie napisał, coby mogło być nakazem, a jednak wiem, że nie można inaczej, wiem, że te chwile ukojenia, wewnętrznego spokoju miną, pierwszy dzień słoneczny wzbudzi przemożną tęsknotę za Warszawą, za życiem tam, niejednostajnym, nerwowym, moim. Za Krystyną, Moniczką, Zbyszkiem, za Marcinem. Nie mógłbym tutaj żyć długo, żyłbym się z nimi, wrosłem w tę rodzinę śląską, bliscy mi, bliżsi niż... nie chcę o tym wspominać, wyrzucili mnie precz, zerwali za sobą ostatnią nić uczucia, które w stosunku do nich żywiłem.

Będzie lato — skonstatowałem. — Cieszę się, że pojedę do Warszawy, brak mi jej. Drobny deszczek zagrał kropelkami po szybie. Poprzez mgłę rozwichrzonego deszczu widziałem, jak dym z komina palni chemicznej skręcał się, opadając na dachy. Pięć razy wybił zegar w sąsiednim pokoju i chyba jutro pojedą już, tak, jutro! Zasiadę u Krystyny na tapczanie, przyjdą inni i będę patrzył przez okno na przeciwny balkon, gdzie młoda panna, szukająca flirtu podniesie spódniczkę, poprawiając pończoszkę...

Deszcz pada coraz mocniej.
Lublin, 16. 10. 42 r.

„Lud cieszyński nigdy nie uzna ani nie zniesie obcego panowania, które będzie tym boleśniejszym, że ma je sprawować naród bratni. Głęboka rana, jaką zadobył mu tego rodzaju rozwiązanie w sprawie cieszyńskiej, nie przestanie nigdy krwawić poprzez przyszłe pokolenia...”

Z oświadczenia przedstawicieli Ziemi Cieszyńskiej w Paryżu w lipcu 1920 r.

Józef Nacht

Repeta

Nie wiedziałem, że w noc od gwiazd srebrną,

Przez zielone, przez grudniowe błota
Twoje usta jednak do mnie przebrną,
Przyjdą do mnie Twe usta plechotą.

To już chyba zrzuciła opatrność,
że tu jesteś zdyszana od biegu,
że Twe usta czekają na baczność,
Moich ust drżących w dwuszeregu.

Jesteś przy mnie wzruszona widocznie,
Wnet całusem zameldujesz wyjście,
Wnet Twym ustom wydam rozkaz:
„spocznij!”
Wnet Twym oczom wydam rozkaz:
„kryj się!”

Wnet odejdziesz, weź na pożegnanie
Dobłą radę, żołnierza — poety,
Przyszłaś raz, to wystarczy, kochanie,
Ja nie znozę żołnierskiej repety.

wspaniałym swym pałacu pod wodą. Widzę się na pierwszej „zbiorcy” małych Sokołów, która odbyła się tu gdzieś w pobliżu, czuję znów ból od rany w nodze, bo po drugiej stronie rowu skoczyłem w szkło. Przeszywa mnie tak samo jak wtedy strach przed duchami na hrodziściu. Nagle wspomnienia te przerwane zostaną przez słowo: wojna. Zwracam twarz w kierunku, skąd się ono wyłoniło. Nie tylko wiatr. Rozmowa wyszła już z przeżyć i zagadnień i wspomnień. Coraz to z innych ust padają zdania pełne obawy przytacza się fakty, wysuwa się wnioski.

Rozmowa w szeptach. Myśli przebrnęły już przez trzęsawiska i moczary wojny, szept stoi na progu pokoju.

A tu poeta subtelny ale i jasno patrzący ku sprawom ludzkości. Jan Skala, czyta swój wiersz i widzi pola nasze, pola i wiatry...

„Ow, kak puste wase pola su, zanjerodżene te rjane bródzy wśudże jeno kopriwy a wósty rostu tu.”

Cisza szumi naokoło. Wszyscy zasłu chani są w przyszły czas, oczarowani poezją. Marcin Nowak odgania jakąś myśl zamazystym ruchem ręki — jakby wielkim pędzlem zamalował straszidło wojny. Za dużo — mówi — pychy wróg ma w sobie, a to niedobra broń. Z nami prawda i prawo i to lepsza broń... Cóżby się tam przejmować, będzie wysiew i po wojnie i będą żniwa bogate, przyjdą „serbsey kralo-

wje z Lublina. — Tu widzę przed sobą obraz tego artysty — malarza, przedstawiającego siedmiu królów serbskich na górze Lublin, którzy mają wyzwolić Łużyce według podań ludu z minionych czasów. Aby tylko przyszli.

Wejdo Paweł uważnie słucha, lubi przysłuchiwać się długo, lubi rozmyślać długo, znam to. Teraz uśmiecha się, czeka na trafną karykaturę, dowcip, satyryczne porównanie, jakimi Marcin zwykł rozbawiać słuchaczy. Lecz malarz nie takiego dziś nie powie. W międzyczasie dorzucił jakiś młody, zapalczywy gość swoje trzy grosze do rozmowy, nie troszcząc się zbytnio o bezbłędne wyrażanie się. Błędy i germanizmy rozniewały obrońcę czystości języka Michała Nawkę. Michał Nawka uczył się słuchać ludzi inaczej, jednym uchem słucha, co się mówi, innym, jak się mówi. Teraz wyjaśnia młodzieńcowi różnicę między „swoją” a „jego”, między „swoje” a „nasze”. Ciągła styczność z niemieckim sprawiła, że subtelne różnice te nie zawsze się widzi, dlatego tak często błądzimy. Ojciec jest nauczycielem serca choć uczy języka, ale ucząc języka Łużyckiego uczy miłości. Cieszy się, gdy może pochwalić, boli go, gdy musi karcić. Widzę przed sobą całe stronic „Serbskich Nowin”, skorygowanych przez ojca, strony z tłumaczenia Homera „Iljady” — przepłatane piśmem ołówkowym; zresztą i Hitlera „Mein Kampf” doczekał się na marginesie niejednego sprostowania, wyjaśnienia, ciętej saty-

ry. Bo wszystko co jest złe i chore, głupie i bezcelne zwalcza Michał Nawka.

Długo siedzieliśmy tam jeszcze. Pozwijały się grupki, jedni tylko o polityce mówią, inni delectują się ciekawymi zjawiskami językowymi, tam zaś ściśle organizacyjne problemy szemrzą — a tu — całkiem blisko Józef Nowak deklamuje wiersze.

W dali kolebie się śpiew, jacyś późni goście przychodzą, a z nimi królewski dyrektor muzyki i kompozytor Bjarnat Krawc, mimo podeszłego wieku nieustannie pracujący jeszcze, wychowawca wielu śpiewaczek i śpiewaków łużyckich. Stanął ze swoją swiata między nami. Włos siwy grać mu poczał, pleśń otwarła się wokół niego, z pleśni wyfrunęły gołębie białe, gołębie łużyckiego pokoju.

Wspomnienia, wspomnienia cwałują nad czołem. Na wspomnieniach oparłszy pieśń, ze lżą dobrze ukrytą za tymi co padli, idziemy my Łużycanie drogą szeroką i prostą.

Glossa druga.

Gwiazdy te same nad Łużycami. Ale sztandarów nie widać. Wiatr wśród gwiazd się przemyka, ptak ognisty. Takie były skhadzowanki a takie ich przestanie: wiara, która tu rosta, zbudować ma nowe łużyckie życie. Wiara i wiatr, słowa tak podobne, ale wiatr tu jest coraz cichszy a wiara coraz głośniejsza.

Wystawa Związku Plastyków w Katowicach

Z okazji Wystawy Związku Plastyków będę pisał o Katowicach jako o „Paryżu Północy”. Bez żartów. Mówię zupełnie szczerze — zapachniało mi na tej wystawie Paryżem. U nas ten sposób pokazywania obrazów jest mało rozpowszechniony, przywykliśmy raczej do pompatycznych, oficjalnych wystaw,

wzorowanych na typie muzealnym — wystaw ku podziwowi i krzewieniu, na których widz nie uświadamia sobie nawet, że oglądane dzieła są w istocie towaram wystawionym na sprzedaż, że artysta też człowiek i chce żyć ze swojej pracy. To, co zobaczyliśmy przy ul. 3 Maja 21, wprowadza nas przeciwnie w świat

tych małych galerii z nad Sekwany, właściwie po prostu sklepów i sklepików, w których kupuje się sztukę tak, jak w księgarni kupuje się literaturę.

Z góry musimy zastrzec, iż omawiana wystawa nie ma i mieć nie może jakiegoś określonego kierunku czy stylu, gdyż nie jest wystąpieniem grupy plastycznej, związanej wspólnotą szkoły i dążeń. Wzięli w niej udział wszyscy niemal plastycy, zgrupowani w katowickim Związku, a więc ludzie wszelkiego wieku i wszelkich szkół. Niebezpieczeństwa były duże. A jednak dzięki staraniom organizatorów i trafnemu doborowi prac, udało się osiągnąć poziom równy i nieoczekiwanie wysoki. Rozbieżność dążeń również nie wydaje się znaczna. Naogół wszystkich wystawiających łączy rzetelny stosunek do koloru, owo „tłumaczenie formy poprzez kolor”, które wydaje się jedyną drogą do dobrego malarstwa. Wystawa jest w najszerszym tego słowa znaczeniu zbiorowa, poszczególni autorzy reprezentowani są przez parę najwyższej prac. Ta okoliczność oraz wyrównany poziom utrudnia niepomniernie pracę sprawozdawcy: brak materiału do analizy poszczególnych autorów, trudność wyboru — chaos — spis rzeczy — coś w rodzaju książki telefonicznej. Do listy nazwisk dodaje się listę epitetów na chybił trafił, robi się przyjemność paru osobom, paru innym przykrość, ale co z tego ma czytelnik recenzji i widz wystawy?

W dziedzinie malarstwa nie wiadomo doprawdy od czego by zacząć. Powody, dla których jedne obrazy bardziej zwracają uwagę od innych, bywają często natury raczej poartystycznej — po prostu narzuca się to, co na danej ścianie jest najbardziej różne od reszty. Z tego punktu widzenia najwięcej wyrwywaję się na całej wystawie obrazem jest „bajecznie kolorowy” pejzaż Żwaka, będący kontynuacją starego nieporozumienia z okresu polskiego impresjonizmu, kiedy to zamiast malować „na kolor”, zaczęto malować „kolorowo” — farby gryzły się ze sobą, a koloru w dalszym ciągu nie było. Nie twierdząc zresztą, że pejzaż jest zły — jeżeli ktoś chce koniecznie, można i tak malować, ale nie należy wieszać takiego obrazu obok rzeczy opartych na subtelniejszej gamie, bo szkodzi się i jemu i im. A w zakresie tej subtelniejszej gamy, pokazało nam rzeczy bardzo przyjemne. Jest na przykład ciekawy, pankiewiczowski jakby w fakturze, a osobliwie poważny w kolorze pejzaż górski Henischa, są Bandury wędkarze pod mostem, w jakiejś dostojnej, ugrowej tonacji, dwie prace Piwowarskiej, każda w innym typie, obie nacechowane tą samą smakowitością zestawień barwnych, trochę wprawdzie przebielonych, ale „wszystko dobre co się dobrze kończy”. Szkoda, że „Dwie dziewczynki” tak się dzieła przez pół, zarówno w kompozycji, jak w kolorze, bo poza tym są jednym z ciekawszych płócien. Bardzo ciekawym kolorystycznie obrazem jest Portret starszej pani Wodyńskiego, znacznie wyższej klasy od Portretu młodej i pięknej pani tegoż autora. Tak to bywa. W zupełnie odmienny świat wprowadza nas Heiman w niedużej kompozycji, którą nie wiem jak zatytułować: „Spiskowcy”, „Gratka”, czy zgola „Szabrownicy”. Przypomina się żywo Dautmiera. Makabryczna ekspresja tej kompozycji, podkreślona jest złowrogą ponurością gamy i śmiałością faktury. Wdzięczny przykład kierunku nazwanego przez kogoś „naiwnym realizmem”, kierunku którego najkapitałniejszym przedstawicielem jest Henri Rousseau, daje nam Rubinkowa, w swojej kompozycji pełnej dzieci, psów i różnokolorowych kwiatków. Poza

tych cóż jeszcze? Przyjemne, miękkie kwiaty Zamlara, śmiało malowane Kramy Podlaszewskiego. Jeżeli już mowa o śmiałości pędzla, warto wymienić pośpieszny szkic olejny Szyllera, przedstawiający kopiącą kobiety. Szczery impresjonizm studium z Plant krakowskich Błażewskiego również zasługiwał by na wzmiankę. Wiele było jeszcze rzeczy warto wymienić, ale po prostu miejsca nie starcza.

Niewątpliwą sensacją w dziale grafiki są trzy drzeworyty Stefana Mroźewskiego z cyklu ilustracji do Boskiej Komedii — próbka wielkiego dzieła o wartości nieprzemijającej. Wiemy, iż całość cyklu wykonanego w latach wojny na zamówienie jednej z wielkich angielskich firm wydawniczych, zawiera około setki płyt. Trzy plansze, które nam pokazano, reprezentują nie tylko ów swoisty typ kompozycji i wysoką klasę techniki, jakie znaliśmy u tego bezsprzecznie chyba najciekawszego z naszych drzeworytników z czasów przedwojennych — pokazują one jego dalszą ewolucję. Typ kompozycji w zasadzie ten sam co w Legendach Warszawy na przykład, ten sam pluralizm, ale bardziej zwarty, zsyntetyzowany, silne kontrasty walorowe, jakich dawniej nie bywało. Sam temat literacki wydobywa na jaw jakąś wręcz nieograniczoną zdolność plastycznego konkretyzowania poetyckiej wizji. Owe wiry i kłębowiska ciał, drogi mleczne, gwiazdy, chmury i otchłanie, wszystko to pod rylcem Mroźewskiego staje się ciałem, przestaje być schematem i konwencją, zdobywa jednorazową, niepowtarzalną formę. Drzeworyt jest ponadto reprezentowany przez interesujące kompozycje Langnera, oparte na tradycjach podkolorowywanego drzeworytu ludowego. Wykazują one dużą swadę kompozycyjną i walory dekoracyjne obok nienagannego rzemiosła. Malarzem w swych drzeworytach pozostaje Szyller. Tematy śląskie w akwafortie pokazuje Zakrzewski. Do grafiki użytkowej zaliczają się urocze ilustracje Mroszczaka do „Kaczorka” Bronikowskiej, wykonane techniką plakatu. Tegoż autora jest wdzięczna, w papieroplastyce wykonana kompozycja reklamowa w witrynie lokalu. Rzeźba papierowa, zbanalizowana przez partaczy, zaczyna nam się już trochę przejadać, ale wykonana dobrze i na świeżych pomysłach oparta, ciągle jeszcze cieszy. Z rysunków należy wymienić opatrzone żalobną krepią świetny portret węglem tragicznie zmarłego przed kilku dniami Adamieckiego, oraz doskonały w swej swadzie mały rysunek piórem Dawskiego. Obok zwraca uwagę akwarela Gepperta i dobry w wyrazie Nokturn z dorożkarzem Żwaka. Tradycje Michałowskiego wskrzeszają Konie — gwasz Adamskiego. Osobliwe zjawisko stanowi Stanko, autor niesamowitego rysunku, robionego całkowicie pod Szukalskiego, zresztą bardzo dobrze, a zarazem małych impresjonistycznych obrazeczków, nie powiem a la Stanisławski, ale prawie.

Pozostaje jeszcze rzeźba. A więc: Marcinowa Głowa kobiety, zwarta i oszczędna w wyrazie, reprezentująca doskonałe syntetyczne dążenia współczesnej rzeźby. Głowa Langmana jest trochę może nazbyt „klu-skowata”, lecz nie pozbawiona wyrazu. (Bardzo dobre w swoim rodzaju figurki w ceramice tegoż autora). Piwowarski pokazał parę kompozycji na temat dzieci, wszystkie oparte na tej samej, ciekawej zresztą deformacji, robiącej jednak w sumie wrażenie pewnej objętości. Ciałem obcym jest na wystawie Tancerka Jackowskiego, przykład dalekiej nam estetyki konwencjonalnego naturalizmu.

W witrynie i w gablotkach wewnątrz umieszczono wiele drobnych przedmiotów z zakresu rzemiosła artystycznego, które napewno znajdą chętnych nabywców. W samą wystawę udana i mimo skromności lokalu, a może właśnie również i dzięki niej, wyjątkowo miła w atmosferze.

Jan Kosiński

Bolesław Wróblewski

Twarzą do szyby

To wszystko jest historia: te sprawy mniejszej, większej i grubszej wagi, jakie spotykamy i w jakich tkwimy przy budowie naszej Polski Nadodrzańskiej. Jesteśmy przy wielkich i małych kłopotach, trudnościach, przeszkodach, niedociągnięciach, a nawet tragediach i nieśczęściach, związanych z osiedleniem się i urządzaniem tych ziem zwycięstwa, odzyskanych po tylu wiekach klęsk. Jeździmy pociągami i autami. Wędrujemy pieszko i walęśmy się. My repatrianci, grupy operacyjne, osadnicy. Urzędnicy wyżsi i niżsi, my władza z departamentów i województw. My poszukujący posad, sklepów, fabryk. Redaktorzy i korespondenci. My ludzie czystych rąk i pełni zapału, my szabrownicy, my targający szaty na widok zła i głupoty i my zaprzeczający cenne dobra materialne i moralne. My zniechęceni raz na zawsze i klnący na czym świat stoi. I dzicy improvisatorzy, którzy z wszystkim dajemy sobie radę. Twarzą do szyby: Twarzą do szyby! Łapiemy historię in flagranti. Bo to wszystko jest historia. Z tego będzie kiedyś epopea, napisana przez Mickiewicza roku 2045-go. Jak powstała w okresie przełomowym Polska Nadodrzańska, ongi w zamierzonych latach 1945-tych. My wszyscy twarzą do szyby. Nosem do szyby. Nie mamy perspektywy historycznej, nie możemy mieć perspektywy historycznej. Kiedyś ją będzie miał dorosły syn mej córki, która mi żona powiła dzisiaj. Twarzą do szyby. Przesuwają się przed oczyma zjawiska, sytuacje, problemy. Nieważne i ważne. Notujemy je z żywym zainteresowaniem, bo to wszystko jest historia.

PROBLEM

Na odzyskanych ziemiach nie ma jeszcze społeczeństwa. Są na razie takie luźne grupy społeczne: repatrianci z za Bugu, osadnicy i ludność miejscowa. Co myślą socjologowie? Kiedy z tych grup powstanie jednolite społeczeństwo o tej samej psychice. Czy świadomość wspólnego gospodarowania na historycznej ziemi Piastów wystarczy aby zementować te grupy o różnym poziomie cywilizacyjnym i różnym typie człowieka. W jakim stopniu wpływ czynnik władzy państwowej na powstanie jednolitego społeczeństwa zachodniej Polski. Kiedy urząd parafialny w Opolu zanotuje pierwsze małżeństwo repatrianta z pod Sarn z córką górnika gliwickiego? Czy wieśniaczka z Wołynia, którą widziałem za Byczyną jak prała koszulę dziecka, tłukąc ją kijami nad stawem, nauczy już córeczkę normalnego prania z użyciem elektrycznej wyżymaczki? Kiedy nierozumny osadnik z kieleckiego przestanie mówić na miejscowego Polaka pod Koźlem „ty przeklęty sługusie niemiecki”, a zniemczony Polak z Wrocławia na Lwowiaka „ty morderco z Ukrainy?”

STAROSTA PISZE LISTY

Ma się odbyć zebranie wójtów powiatu X na Opolszczyźnie w sprawie zbioru rzepaku. Rzecz nie cierpiąca zwłoki. Starosta ustala termin zebrania na dzień A miesiąca B. No i wysłał listy do wójtów swego powiatu przy pomocy... poczty. Urząd

pocztowy X wysłał wszystkie listy do cenzury do Katowic. Z Katowic idą z powrotem do X. Dzień A miesiąca B już dawno minął. Rzepak sypie się na polu. Trzy tygodnie po terminie zjeżdżają wójtowie. Teraz dekoruje się salę emblematami narodowymi i wójtowie czekają na udekorowanie sali trzy kwadransy. Zebranie z opóźnieniem, ale się odbyło. Starosta w sprawozdaniu to ujmie, że zebranie się odbyło. I dużo, dużo litrów oleju zmarnowało się, bo rzepak się na polu wysypał. JUŻ SĄ GĘSI I KURY.

Gdy w miesiącu kwietniu wędrowałem po ziemi nadodrzańskiej wśród przerażającej pustki, wsie były wymarłe. Życia nie było. Teraz przejeżdżam przez wsie żywe. Na drogach, przy stawach spacerują gęsi i kury. Stop. Nasze auto przejechało kurę. W kwietniu nie było to możliwe. Absolutnie. Kosztem jakich ofiar jednostek i całych rodzin powstało tu między kwietniem, a sierpniem życie w zagrodach i opłotkach wiejskich?

SŁA POLSKOŚCI

Chłop z wioski Dziedzice Józef Szczepanek w powiecie prudnickim (Prudnik leży na wschód od Nisy) posiada nad wyraz ciekawą biblioteczkę. Znajduję tu kilkanaście starych polskich książek do nabożeństwa, a poza tym słuchajcie, słuchajcie: to misko „Dziejów Śląska” Feliksa Konecznego wydane w roku 1897 w słynnym wydawnictwie „Katolika” bytomskiego. „Puszcze polskie” Antoniego Ossendowskiego i inne niesamowite rzeczy. Skąd się to tu wzięło? Tutaj wśród morza niemieczyzny taka arka. Prostu przetrwało z dawnych czasów przedwojennych. Józef Szczepanek tę biblioteczkę pieczołowicie przechowywał wierząc, mój Ty Boże, że kiedyś doczeka się Polski. Właściwie nie, nie Polski, bo Polska tu była. Była w jego piersi śląskiej i wiernej, w jego książkach. Wierzył, że doczeka się państwa polskiego. I doczekał się.

Oto wrośnięte w Śląsk korzenie naszej Ojczyzny. Choć burza zwała wierzchołki zniosła czupryny polskości, choć ogień palił pnie, korzenie zostały żywe.

RÓŻNICA POSTAW

Komendantka harcerstwa polskiego na Opolszczyźnie przed wojną p. Janina Kauczorówna ze Strzelecka w powiecie prudnickim przesiadła w charakterze „ciężkiego przestępcy politycznego” cztery lata więzienia niemieckiego i jeden rok Ravensbrücku, w sumie pięć lat zakratowanych głodem, torturą i cierpieniem. Dziś rzuciła się na nowo bez nikajnych odpoczynków powięziennych lub poobozowych do pracy. Jest nauczycielką gimnazjum w Prudniku. Życie piętrzy tutaj trudności, praca często nacechowana tragizmem Szyfca. Słabi ludzie powiadają wówczas:

— Nie, dosyć już tego na miłość Boską, nie ma sensu, wyjeżdżam z tej przeklętej Opolszczyzny. Tak właśnie odezwał się pewien piastu jacy wysokie stanowisko urzędnik do p. Kauczorówny.

— A pani?

— A ja? mnie to podnieca.

Ta różnica postaw jest na Opolszczyźnie charakterystyczna.

Krótkie spięcia

W początkach sierpnia odbył się w Warszawie Zjazd Pisarzy Chłopskich. O zjeździe zadziwiająco mało, jak dotychczas, napisała prasa literacka, nie mówiąc już o prasie codziennej, która zbyła go oficjalnym komunikatem, oczywiście nidecznie. Tu gorzka refleksja: W Czechosłowacji odbył się niedawno zjazd kilkunastu poetów, o którym prasa codzienna przynosiła ciekawe artykuły i opowieści, a więc — choć nie miał znaczenia programowego — omawiany był gorliwie i szeroko.

Tymczasem Zjazd Pisarzy Chłopskich był nadzwyczaj ciekawy i każdemu gorliwemu obserwatorowi polskiego życia kulturalnego nasuwał mnóstwo uwag. Sama myśl o zjeździe pisarzy chłopskich jest objawem pewnego osobliwego snobizmu, zwłaszcza, że pisarzy chłopskich par excellence jest u nas mało i na zjazd przybyli przeważnie pisarze pochodzenia chłopskiego jedynie, w których jednakowoż nurt „chłopskości” wysechł już dawno. Oczywiście niejedynym zdolnym krytyk doszuka się — „chłopskości” — w wierszu Przybosa, powie, że upór w poszukiwaniu właściwej formy — to właśnie cecha duszy chłopskiej. Nie zmienia to jednak faktu, że poezja Przybosa z wsią ma dziś mało wspólnego.

Od pięknych kokardek zjazdowych z dwoma skrzyżowanymi wąsatymi kłosaми począwszy, poprzez akademicką dyskusję, której filozoficzny spókoj burzył jedynie Nędza — Kubiniec i kilku jeszcze autentycznych współczesnie chłopów, poprzez niemiłe nieporozumienia przy przegłosowaniu wniosków, po miłą wreszcie wizytę w ośrodku polnym w Kołbieli — dochodzimy do stwierdzenia, iż nie zakreślono należytej granic tej snobistycznej zabawy. Bo — choć nie leżało to w zamiarach organizatorów — Zjazd okazał się zabawą snobistyczną dla tych pisarzy, którzy chcą gwałtownie nadażyć kroków ideowo politycznej rzeczywistości, ogarniającej Polskę.

Dyskusje nad referatami, które z wyjątkiem wspaniałej improwizacji p. Solarzowej na temat wsi były na ogół nieprzygotowane i dość ekskluzywne, nie odpowiadały na najważniejsze pytania: co to jest literatura chłopska, (choć podstawę do dyskusji nad tym pojęciem dawał ciekawy artykuł R. Matuszewskiego z „Odrodzenia”), jakimi drogami powinna iść literatura chłopska — szczególnie tu mieszały się pojęcia. Mówiono zresztą wiele o tym, czego chłop pragnie, jaka to piękna rzecz u chłopów tęsknota za własną sztuką, jak bardzo chce by jego artystyczne wytwory były inne od tych z miasta i t. d. Tymczasem wieś sprawiła organizatorom przykry kawał, który złośliwi mogli by nazwać odpowiedzią na to fantastyczne zataczanie dyskusyjnych kregów: Kapela wiejska w Kołbieli witała pisarzy starym wiedeńskim marszem „Die guten Kameraden”.

Dyskusja nie wykazała jedności. Trudno, nie da się przeprowadzić jedności w rzeczach literackich tam, gdzie miesza się je ochoczo z problemami politycznymi i gdzie spojrzenie społecznika niejednokrotnie jest ważniejsze od spojrzenia krytyka literackiego. Chęć stworzenia osobnej organizacji, może nawet zowodowej, choć te koncepcje na ogół odrzucali wszyscy, dla pisarzy chłopskich jest już nie objawem snobizmu ale objawem równie niebezpiecznego separatyzmu. Powiedział to ktoś na Zjeździe. Zdaje się zresztą, że do stworzenia takich odrębnych form organizacyjnych dążą literaci ludowi raczej, względnie też ci, którym koncepcje całkujące przyprósza doktrynerstwo polityczno-partyjne.

Niemiłe rzeczy dzieć się poczęły przy uchwalaniu wniosków zjazdowych. Wniosek w sprawie zniesienia nauki religii w szkołach znalazł się tutaj z niekoniecznie potrzebnych powodów. Protestowali przeciw niemu gorąco Ślązacy, ktoś z Wilna i kilku Krakowian. Pierwsze głosowanie było źle obliczone. W drugim głosowaniu, które odbyło się po głośnych protestach, wniosek przeszedł. Swoją drogą nie rozumiemy tej gorliwości Komisji Wnioskodawczej w sprawie tak luźno związanej z samą istotą Zjazdu i z rzeczą sa-

mej literatury chłopskiej. Należał wprawdzie do Komisji tej również i jeden Ślązak, ale choć powoływano się na demokratyczność zjazdu („jesteśmy aż nazbyt demokratyczni” — oświadczył w trzecim dniu obrad jeden z organizatorów), nie poinformowano go nawet przed tym o przejętych względnie uchwalonych wnioskach. Z punktu widzenia sprawy polskiej na Śląsku np. uważamy zarówno treść tego wniosku jak i mieszanie się do tej sprawy pisarzy chłopskich za niepotrzebne.

Poznań nie był na Zjeździe reprezentowany a za Pomorze mówił jakiś przegłosny adorator aktualności. Edmund Osmańczyk, który miał mówić o Śląsku, naturalnie nie przyjechał, utknąwszy gdzieś pod Berlinem. Ktoś miał pretensje do Samopomocy Chłopskiej, dlatego ona to właśnie zwołała Zjazd. Było na Zjeździe kilku pisarzy z sygnetami, kilkunastu pisarzy robotniczych, którzy mieliby również prawo zmanifestować swą odrębność

i odpowiedzieć separatyzmem na separatyzm.

Czy Zjazd ten — którego organizacja, przyznać to trzeba z radością, była sprawna i celowa — ma się stać początkiem nowej ery w życiu literackim? Nie wiadomo. Już bowiem w czasie dyskusji można było zauważyć, że niektóre stwierdzenia i postanowienia nie wymkną się z czarodziejskiego kręgu dźwięku. Wirować one będą w zaklętej kulistości słowa, jak się to stało u nas dzieje. Jest to zresztą jedyna sztuka dla sztuki, jaką uprawiamy ochoczo bez potrzeby rezygnowania ze złudzeń.

Sądźmy wreszcie, że pisarze chłopscy — o ile będziemy się upierać przy socjalnej konieczności istnienia takiego odrębnego typu — powinni znaleźć przytułek w Zw. Zaw. Literatów, niechby to nawet był przedpokój. Z przedpokojem łatwiej wejść do pokoi głównych niż z innego domu.

JACEK BRZYM

Co robią Niemcy?

Telegraficznie wygląda to tak: pod Monasterem czynna jest pierwsza szkoła dla policji niemieckiej. Żołnierzom angielskim, okupującym Niemcy, wolno już chodzić bez broni. Burmistrz Monachium powiedział, chytrze się uśmiechając, na zebraniu publicznym: musimy wyznawać program realistyczny. Nadburmistrz Poczdamu, p. Paul, powiedział: duch Poczdamu umarł, ale Poczdam będzie żył, bo nie umarł duch niemiecki. Przemysł metalowy Berlina pracuje pod hasłem: pomoc wsi niemieckiej! Produkuje się maszyny rolnicze, z pracy ręcznej powstają kosy. Drugie hasło metalurgii berlińskiej jest tajemnicze a lapidarność swą wzięło z tego ducha, który ponoć umarł w Poczdamie: Anfangen! Richtig anfangen! Czy nie przypomina ono führerowskiego słowa: „Fangt an”, które malowano w roku 1933 na pocztówkach, ryto w kamieniu trotarów, ustawiano na skrzyżowaniach autostrad? Otóż są wiadomości dobre czy złe, ale zawsze prawdziwe, jakby powiedziała pewna zagraniczna rozgłośnia. Nie będącym was straszyć innymi dziwaczniejszymi przejawami „odbudowy” Niemiec, tak skwapliwie głoszonej tu i ówdzie. Przejdźmy do kroniki kulturalnej.

W Hamburgu powstanie centralny urząd informacji dla prasy niemieckiej. Władze okupacyjne stwierdziły, że nie będzie to nowe ministerstwo propagandy i że celem tego urzędu będzie obiektywna informacja. Ha, jak kto woli. Obiektywną tę informację produkować będą Niemcy, bo urząd będzie kierowany przez Niemców i niemieckich emigrantów pochodzenia niemieckiego. W Hamburgu ukaże się również wkrótce miesięcznik literacko naukowy, poświęcony pracy literackiej kulturalnej i naukowej Zachodu. W ten sposób Niemcy rychno odrobnią zaległości w dokształcaniu kulturalnym, wynikłe z odseparowania Niemiec od kultur i literatur Zachodu. (Kto pomyślał o takim piśmie u nas? Niechby to nawet był kwartalnik. Dlaczego chęć zaabonowania pism literackich Francji i Anglii spotkała się w Katowicach w pewnym ważnym urzędzie

z ostrym zarzutem reakcji i niezdrowych tęsknot?)

Anglicy nie sporządzą indeksu książek niemieckich. Tak oświadczył gen. Beszeng. Niemiecy wydawcy mogą już wydawać klasyków niemieckich. Monachijskie firmy wydawnicze wspólnym wysiłkiem zamierzają wydać trzydziestotomowe wydanie Goethego. Rozpoczęto prace wstępne. Będzie to Goethe — jak doniosło radio Monachium — całkowity, wolny i prawdziwy. Ano, czekajmy; może wydadzą nam również Mickiewicza. Bo u nas poża uchwałą KRN długo się nic w tym kierunku nie będzie robiło.

Drukarnie niemieckie w sowieckiej strefie okupacyjnej mogą rozpocząć pracę. Każda drukarnia otrzyma swój numer rozpoznawczy, który umieszczony musi być na drukach. Sowietka cenzura wojskowa wymaga dwóch egzemplarzy przed drukiem i pięciu po wydrukowaniu.

150.000 kostiumów opery berlińskiej znaleziono w pewnej kopalni soli. Według „Badener Tagblatt” kostiumy te rozdzielone zostaną między teatry niemieckie. Władze okupacyjne sowieckie zażądały kostiumów dla „Rigoletta” i „Madame Butterfly”. Może i my pomyślelibyśmy o rewindykacji tego typu?

Galerię obrazów otwarto uroczystie w Berlinie. Wystawiać ona ma głównie młode i radykalne talenty. T. zw. entartete Kunst — głosi program galerii — została po wyrzuceniu jej przez hitlerowców z muzeów uratowana i obecnie zostanie wystawiona. Chodzi tu głównie o osobliwe i dziwne nowinki ekspresjonistyczne, którym Berlińczycy nie mogą się nadziwić, tak im się podobają. A oto berlińskie cenniki obrazów: rysunki ręczne — ok. 75 mk; akwarele — 150 mk. wielkie obrazy — 300 mk; obrazy olejne — od 400 mk. Ceny rozumieją się jako przeciętne w stosunku do ogółu malarzy. Z wystawianych obecnie najwyższe ceny osiąga Wladimir Lüneberg, (ur. w Moskwie) i Eger. Również w Monachium otwarta została pierwsza wystawa malarska.

Notatki

Wawrzyniec Hajda, niewidomy poeta ludowy i kompozytor, którego gwarowe opowieści zebrał Ludwik Łakomy w pięknym zbiorze „Kwiaty na hałdach”, urodził się sto lat temu. — Piekary Wielkie, miejscowość, gdzie Hajda działał i gdzie witał w r. 1922 pierwszego polskiego żołnierza, urządziły uroczystą akademię ku czci zmarłego „Wernyhory” górnośląskiego, jak go nazywała tradycja. Godzi się tu o tym wspomnieć tym więcej, że o rocznicy tej gluchoty jest w świecie literackim, a o samym Hajdzie nic nie wiedzą historycy piśmiennictwa ludowego

Ukazywanie się gazet polskich na ziemiach zachodnich to frapujące momenty historyczne, nad którymi przechodzi się z jakąś dziwną obojętnością. Obojętność ta sprawia, że trudno nam jest nawet przedstawić dokładny obraz prasy, wychodzącej na Zachodzie. W każdym prawie mieście,

gdzie tylko znaleziono drukarnię i papier, poczęło wychodzić pismo lokalne. Niektóre ukazują się do dziś, inne ucichły po kilku numerach. Dlaczego nie ma tych istnych białych kruków w bibliotekach naukowych? Gdzie ich będzie szukał przysły historyk czasośpiśmiennictwa polskiego?

Wytrwała „Gazeta Dolno - Śląska” wychodzi głównie dzięki wysiłkowi i temperamentowi Mieczysława Wionczka, konkwistadora wrocławskiego. Na łamach tego tygodnika można śledzić z przyjemnością, jak polski Wrocław wyzwała się coraz pełniej z węgów prowincjonalizmu i prymitywizmu, który zagnieździł się na rogach wypalonych ulic i w izbach zgruchotanych domów.

Bawił we Wrocławiu krakowski Teatr Rapsodyczny. Jak informuje nas Tadeusz Kudliński w „Tygodniku Powszechnym”, niektóre czynniki oficjal-

ne nie bardzo pochwalili ten przyjazd. Hierarchia celów, obywatele — tak ponoć mówili — co innego nakazuje. Nie kultura, nie teatr, nie mickiewiczowski patos ale... i tu uczynili wdzięczny ruch ręką. Czynniki tych nie nazwał po imieniu Kudliński nie uczynimy tego również i my. — Starliśmy się już raz z tym bałaganem pojęciowym w pierwszym numerze ODRY.

Poczynania śląskiego oddziału Zw. Zaw. Literatów Pol. idą w kierunku szerokiego upowszechnienia polskich dóbr literackich. Z ramienia Związku odbyły się ostatnio następujące imprezy: — wieczór autorski Wojciecha Bąka (ze słowem wstępnym Zbyszka Bednorza), wieczór muzyczno - literacki w Gliwicach p. n. „Pierwszy Zjazd Literatów na Gliwice”, poza tym w Rudzie odbył się dla robotników wieczór autorski Wilhelma Szewczyka, a w Bytomiu ten sam poeta oraz Zdzisław Hierowski mówili podczas wielkiej uroczystości górniczej. — Przy Związku Powstał Klub Literacki, skupiający młodych i początkujących literatów oraz wszystkich miłośników literatury. W zebraniu inauguracyjnym i w dyskusji wzięli również udział wojewoda śląski gen. Zawadzki i wicewojewoda ppłk. Ziętek.

„Twórczość” krakowska, zapowiadana długo, wyszła nareszcie pod redakcją Kazimierza Wyki. Numer zarówno wyglądem zewnętrznym, jak i układem treści przypomina przedwojenne „Ateneum”, które przewyższa natomiast większą różnorodnością treści. Pismo wolne jest od pozaliterackich aktualności, nie zawsze życzliwych piśmu literackiemu. — Na marginesie wiersza T. Hołuj „Wiem, że zdechnąć muszę” warto wspomnieć, że tego rodzaju surowość naturalistyczna, myśl obnażona, biegnąca chętnie pomiędzy etyką, która jest przeważnie konwencjonalna, jeśli na nią spojrzeć oczyma byłego więźnia obozu, a estetyką, która jest konwencjonalna w tym samym spojrzeniu, — bardzo się podobają pewnemu „oddziałowi” krytyki krakowskiej. Wyrażono to już w stosunku do wiersza Ślązaka Zb. Bednorza pt. „Historia”, który się kończy wersem „Błogosławie historii i jej święte słowo — zabić”. Kto wie, czy te upodobania krytyki, wynikłe niewątpliwie z odpowiedniego przeżycia wojny, nie wpłyną na powstanie nowego prądu poetyckiego. Byby to nowy typ autentyzmu, który w wierszach czołowych autentystów Ożoga i Frasiaka zszedł do roli lirycznych nabożeństw.

Ostatni walczący żołnierze minionej wojny — to minery, którzy przemierzają łąki i pola rybnickiego, niemożlińskiego, świnińskiego, aby ziemia, pozbawiona zatrutego ziarna wojny, obrodziła bogato. Słuchajcie i módlcie się, potrzebny jest na nowo patos, który wielu uważa za rekwizyt wojny.

Oto z 17 minierów, którzy wyruszyli w rybnickie, 6 zginęło w czasie wykonywania trudnego żołnierskiego obowiązku. O tych ostatnich wypadkach śmierci żołnierskiej w walce z żywiołami wojny trzeba nam pamiętać.

Adolf Fierla we Francji. Według nadeszłych wiadomości, literat zaolziański z Orłowej, Adolf Fierla, znajduje się obecnie we Francji w mieście Avignon.

We Francji przebywa też obecnie Gustaw Morcinek.

Istniejący przed wojną na terenie Zaolzia, „Śląski Związek Literacko-Artystyczny” nie wznowił jeszcze swej działalności. W najbliższym czasie b. członkowie tego Związku mają przesłać zawiadomienie administracji czeskiej, iż opierając się na swym dawnym statucie — wznowia działalność Związku.

Redaguje Komitet w składzie: Wilhelm Szewczyk (redaktor naczelny), August Grodzicki, Zdzisław Hierowski. — Adres Redakcji: Katowice, ulica 3-go Maja nr 12, telefon nr 309-75. — Redaktor przyjmuje we wtorki i czwartki od 11—12. — Adres Administracji: ul. Młyńska 9. — Ogłoszenia przyjmuje Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”. Katowice, ulica 3-go Maja 28. — Prenumerata miesięczna 10 zł, kwartałna 30 zł. — Druk: Drukarnia Wojewódzka w Katowicach. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”.

Odra jest dwutygodnikiem. Ukazuje się 5-go i 20-go każdego miesiąca.